

OSWIADCZENIE TYMCZASOWEJ KOMISJI WIEDZIANEJ NSZZ "SOLIDARNOSC"

Jesteśmy miarobco poruszeni ugawalniony i statnio faktami wrogi paratu wladzy wobec wybitnych przedstawicieli Kościoła, którzy d postawie moralnej zyskali szczegolny autorytet wśród społeczeńst zęstsze są przypadki szykanowania księży, którym utrudnia się w bowi jaków kapłańskich. Są to działania sprzeczne z podstawowym p ieka do swobody uprawiania praktyk religijnych. Sprzeczne nawet lsanya w Konstytucji. Godne potępienia jest postępowanie władz w tak wielkim autorytecie, jak ks. Henryk Jankowski, kapelan Stocz ks. Jerzy i plebanuszek-kapelan H. ty "Warszawa". Oburzenie są at różki przeciwko innym księżom i biskupom.

To nie będzie cała prawda ani o początkach „Solidarności”, ani o okresie konspiracji w czasie stanu wojennego. Dzisiaj, choć upłynęło – aż albo tylko – 25 lat, nie da się jej dokładnie odtworzyć. To nie będzie też kalendarium wydarzeń, ponieważ jest ono mniej więcej znane. Natomiast będzie to próba opowieści o tamtych latach złożona ze wspomnień, odprysków pamięci, epizodów, scen, fragmentów rozmów... Opowieść o ludziach – niektórych z nich już nie ma – uczestniczących w ówczesnych zdarzeniach. Ludziach, którzy we wrześniu 1980 roku uwierzyli, że coś się wreszcie zmieni. Ba, nie tylko uwierzyli, ale zaczęli zmieniać rzeczywistość wokół siebie. Niektóre z przedstawionych wydarzeń są znane, inne mniej, jedne mają dużą rangę, inne mniejszą, ale wszystkie składają się na obraz tamtych pierwszych lat „Solidarności” – lat 1980-1984.

REDAKCJA

Kontynuujemy dyskusję poświęconą problemowi adiunktów. Nizej pracownicy respołu roboczego, z upoważnienia EKW zajmującego si polityki kadrowej.

SPRAWY ADIUNKTÓW - CIAG DALSZY

Utarte się przekonanie, że jednym z głównych powodów, że pols est uade. gna fluktuacje kadr i permanentny brak rnk do pracy ajmień przedstawiały Wysokie Czyn. Mi, które z jednej strony zes' generały kolejne zarządzenia utrudniające załmę, iose rugiej-jako śodek oddziaływanie pozytywnego-wprowadzili ieda racy, nagrody, abilitacyjne itp. Rzeczywiście jest jak w kła b ona, ale powiższy stereotyp chył. Burkojonuje.

Tymczasem na uczelnianych wyrosła oczka z adiunktami. Wyrosła dla wielu osób jest to powodem zażalenie. Być może, że si iar jest równie dety jak wiazana w mo p wazachmety i proboci emu, ale chwilowa sprawa jest akw. lina i trzeba się wst nie w prubujny więc odpowiedzieć na swe pytania: skąd się wozaka wai i zrobić. Istotny a. ka. w. 1973. na rotaty w. 1973. 1973 zka z czerkament.

LATA GÓRNE

Lato roku 1980 było kanikulą obfitującą w wydarzenia. Był to czas, który można by porównać do erupcji wulkanu. Potem – wydarzenia potoczyły się jak lawina. Politechnika to mikroorganizm, ale porwany – powtórzmy – lawiną wydarzeń, stał się jednym z tych kamieni, które poleciały unieszone falą wybuchu.

Na Uczelni w ostatnich dniach sierpnia oraz na początku września zaczęło wrzeć jak w ulu. Zjeżdżali się pracownicy i wymieniali informacjami.

– Byłem wówczas w Żarnowcu, gdzie trwała budowa elektrowni atomowej. Spędzałem urlop u brata, który tam pracował. W stoczni trwał strajk. Codziennie przyjeżdżali emisariusze i przywozili narzania tego, co się działo na Wybrzeżu – wspomina dr **Bogdan Dzierżawski** z Architektury.

Dr **Przemysław Majewski** z SiMR-u, spędzający urlop na Wybrzeżu, postanowił pojechać do stoczni.

– Trafiałem akurat na moment, kiedy Lech Wałęsa machał podpisanymi porozumieniami i mówił: „mamy związki zawodowe, resztę załatwimy sobie sami”.

Na Uczelni – jak grzyby po deszczu – zaczęły tworzyć się grupy inicjatywne, którym przyświecał jeden cel: utworzenie nowych związków zawodowych. Dr **Zygmunt Trzaska Durski** z Wydziału Chemicznego mówi, że to zjawisko miało charakter „choroby zakaźnej”.

Niezależny zawodowy

Dr **Krzysztof Strachalski** z MEiL-u wspomina, że po rozmowach z prawnikami, spotkaniu w KIK-u z **Bronisławem Gieremkiem** i **Tadeuszem Mazowieckim** oraz lekturze Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela wiedział, że można założyć niezależny związek zawodowy.

– W naszym kręgu było wtedy wielu świetnych ludzi, pracowników i działaczy ZNP. Dzięki temu, że chodziłem swoimi drogami, w momencie zakładania nowego związku nie miałem dylematu, czy można założyć drugi – obok ZNP – i czy można przynależać jednocześnie do obu. Zwołaliśmy zebranie w największej sali. Była pełna. Padło wiele rewolucyjnych haseł i sporą część sali zmroziło. Przemawiając po moim koleędzie, starałem się zneutralizować nastroje, który zapanaował wśród zebranych. Podsumowałem dokonania ZNP i wszystkim jasno przedstawiłem, jakie jest prawo: można założyć związek obywatelski. Udało mi się złagodzić atmosferę. Ja i kilka osób podpisaliśmy się na liście obecnych i podaliśmy ją dalej. Kiedy doszła do prof. **Zbigniewa Brzoski**, też podpisał i wtedy wszyscy zaczęli się podpisywać.

W efekcie 9 lub 10 września – dr **Strachalski** nie jest pewien daty – doszło do założenia Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Instytutu Techniki Lotniczej i Stosowanej.

W wielu instytutach zbierali się ludzie i podejmowali – udane lub nie – próby tworzenia związków zawodowych.

– U mnie powstał na przykład Samorządny Niezależny Związek Zawodowy Pracowników Instytutu Podstaw Budowy Maszyn – wspomina dr **Janusz Sobieszkański** z SiMR-u. – Wybrano władze – ja zostałem przewodniczącym – ale jednocześnie mieliśmy świadomość, że takie pojedyncze jednostki nie będą mogły skutecznie działać. Padło więc pytanie – co dalej? W obrębie instytutu mogliśmy rozstrzygnąć niewiele spraw. W związku z tym zaczęło się gwałtowne rozglądanie i poszukiwanie rozwiązań. Mieliśmy wiele pomysłów – na przykład żeby utworzyć samorządny niezależny związek zawodowy szkolnictwa wyższego. Była również koncepcja – która przysłała do Politechniki z zewnątrz, a wyrosła w środowisku Polskiej Akademii Nauk – tworzenia organizacji o nazwie Nauka, Technika i Oświata. Pojawił się zatem dylemat: przystępować do niej, czy nie. Zostałem wysłany na spotkanie założycielskie NTiO jako przedstawiciel z mojego instytutu. Miałem ocenić, czy warto, a w razie czego byłem upoważniony do zgłoszenia akcesu do tej organizacji. Doszedłem do wniosku, że jednak nie, ale kilka instytutów PW podjęło pozytywną decyzję.

Zdaniem dr **Włodzimierza Tarwackiego** założenie NTiO oraz kilku innych organizacji było próbą przeszkodzenia w powstaniu jednej, silnej, ogólnopolskiej organizacji związkowej.

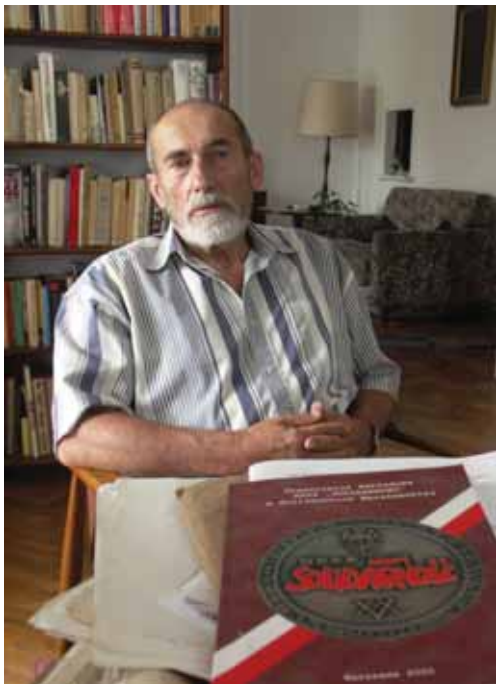
– NTiO przyjmując tylko indywidualnych członków, a nie organizacje zakładowe, ujawniło swój niedemokratyczny sposób działania. Ponadto – jej członkowie nie miałyby żadnego wpływu na już wybrane władze. Dla mnie było jasne, że ten związek jest sterowany.

Ślepa uliczka

Większość pracowników PW należała do ZNP. Dr **Andrzej Potyński** z Mechatroniki uczestniczył w zebraniu wydziałowym, w trakcie którego zgłoszono 21 postulatów. Jeden z nich dotyczył poprawy jakości materiałów biurowych. Ówczesny szef ZNP na Wydziale podał się do dymisji.

Dr **Andrzej Szuster** z Inżynierii Sanitarnej i Wodnej wspomina spotkanie na Wydziale, w którym brali udział: ówczesny przewodniczący ZNP prof. **Stanisław Mańkowski** (pracownik WISiW), dr **Andrzej Smirnow** z Wydziału Elektrycznego oraz prof. **Stefan Weyhert** z Wydziału Chemicznego. Byli to przedstawiciele tworzących się, nowych struktur związkowych.

– ZNP reklamowała się jako organizacja, która wprowadzi daleko idące zmiany, natomiast od przybyłych odebraliśmy deklarację prawdziwej niezależności związkowej. Niezależność była czymś niezwykłym, ponieważ przyzwyczailiśmy się do tego, że zawsze się od czegoś zależało. Nastąpiła ożywiona wymiana myśli. W pewnym momencie siedząca obok mnie **Maria Łebkowska**



Andrzej Czaja

Na urlopie pilnie słuchał Wolnej Europy mgr **Andrzej Gaca** z Wydziału Mechaniki Precyzyjnej obecnie Mechatroniki.

– Skonstruowaliśmy przystawki do radioodbiorników na fale ultrakrótkie z podwójną przemianą częstotliwości oraz specjalną antenę, która umożliwiała słuchania RWE mimo zagłuszcaczy. Odbiór był prawie bez szumów. „Podjudzany przez RWE” – jak się wtedy mówiło – przyjechałem do Warszawy...

– ówczesna doktor, dziś profesor – chwyciła mnie za rękę i powiedziała: „Zróbmy coś!” Wtedy zadałem pytanie: „Kto jest za przynależnością do nowego związku?” Większość była za. Potem zostałem przewodniczącym koła założycielskiego na Wydziale i delegatem na zjazd. Tak na marginesie, prof. **Mańkowski** został później członkiem naszego koła „Solidarności”.



Bogdan Dzierżawski

Mgr inż. **Gaca**, ze zjazdu ZNP w połowie września przypomina sobie propozycje dodania do nazwy słów: Samorządny Niezależny. Uważał, że tak naprawdę nie wiązało się to z żadnymi zmianami. Na zjeździe był również **Bogdan Dzierżawski**.

– Pamiętam, jak prof. **Weyher** oraz dr **Tadeusz Diem** z Wydziału Chemicznego mówili o tym, że związek powinien jakoś zareagować na sytuację w kraju. Profesor odwoływał się do tradycji przedwojennego ZNP. Władze związku starały się jednak wyperswadować nam niezależne i samorządne ruchy. W rezultacie zebrani podzieli się na dwa obozy. Część zdecydowana na to, by coś zmienić, przeniosła się chyba na MEiL. To było – jak sądzę – kilkadziesiąt osób.

Ta uliczka, jak się później okazało, prowadziła donikąd. Jasne było, że trzeba utworzyć nowy związek. Ba, ale jaki? Wiadomo było jedno: Niezależny i Samorządny. Tak, z dużej litery!

„S” jak spontaniczny

Dr **Majewski** opowiada historyczną anegdotę, kiedy podczas zebrania w warsztatach na SIMR-ze mówił o konieczności powstania nowych związków i...

– Szef warsztatów zapytał, czy jak one już powstaną, to będzie można pracować fartuchy co dwa tygodnie, a nie jak teraz, co miesiąc.

Na wielu wydziałach komitety założycielskie tworzyły się spontanicznie i większość wracających po wakacjach na

Uczelnię po prostu dopisywała się do list.

Podobnie jak mgr inż. **Krzysztof Kozakiewicz** z MEiL-u.

– Kiedy po urlopie wróciłem do Instytutu Mechaniki Stosowanej i Techniki Lotniczej, istniał już komitet założycielski. Jego powstanie zainicjowali, z tego co pamiętam, mgr inż. **Krzysztof Orkan-Łęcki**,

mgr inż. **Józef Kuczmierczyk** i mgr inż. **Adam Gmurczyk**. Dla czego akurat oni i czy byli związani ze środowiskami podziemnymi i przed sierpniem – tego nie wiem. Z mojego zakładu zapisali się chyba wszyscy, a z instytutu około 3/4 osób. Jeszcze wtedy nie było platformy ogólnowydziałowej. Dopiero zawiązywały

się między nami więzi. Przedtem bliżej znaliśmy się tylko w zakładach.

– Wydaje mi się, że nikt do tej pory nie opisał – bo jest to trudne – jak to się na początku spontanicznie rozwijało. Człowiekowi dech zapierało w piersiach – mówi prof. **Henryk Supronowicz** z Wydziału Elektrycznego. – To był olbrzymi, rosnący ruch. Okres nie do powtórzenia.

Zbigniew Lewandowski z pracowni ksero w Bibliotece Głównej wspomina zebranie pracowników, które – między innymi – dotyczyło zmiany regulaminu.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej tylu ludzi zabierało głos. Myśmy wtedy odżyli i uwierzyli, że naprawdę coś może się zmienić. Potem już nigdy nie przeżyłem takiego entuzjazmu. To nie były dyskusje w jednym czy kilku pokojach, to ogarnęło umysły wielu ludzi. Patrząc z perspektywy lat – byliśmy naiwni, nie myśleliśmy racjonalnie. Przy półtędze, jaką posiadał Związek Radziecki, to nie powinno się było udać. Jednak jest w nas coś romantycznego...

Trudno opisać entuzjazm i towarzyszącą mu, tłumioną latami, potrzebę rozmowy.

Czy dzisiaj ktoś pamięta termin: emigracja wewnętrzna?

Należał do niej dr **Jerzy Olędzki** z Wydziału Elektrycznego. Jednak w tamtych dniach poczuł:

– Wewnętrzny imperatyw, by wyjść ze swojego prywatnego podziemia – wspomina.

Podobnie było z dr. **Zygmuntem Trzaska Durskim**, który zgłosił swój akces do nowo powstających związków, ale...

– Przyglądałem się wszystkiemu z boku. Nie, nie podejrzewałem, że to sterowana prowokacja. Zdawali sobie jednak sprawę, że jak zapisują się partyjni, to będą wtyki. Pamiętałem przykre doświadczenia z lat '56 i '70. Właściwie na Wydziale nikogo nie znałem, a tym bardziej nie rozmawiałem na tematy dotyczące zaprawy politycznych. Nie wiedziałem, komu można zaufać. Tak naprawdę zaczęliśmy się poznawać dopiero w przededniu powstania „Solidarności” i potem na jej zebraniach.

Podobnie wspomina ten czas dr **Hanna Rembertowicz**.

– Z kolegami byliśmy na pan, pani, rozmawialiśmy wyłącznie o sprawach naukowych i organizacyjnych, nie było między nami żadnych kontaktów towarzyskich. Natomiast kiedy powstawał związek, to w ciągu miesiąca poznałem wielu ludzi, przesłamałem z nimi na ty i okazało się, że mamy wiele wspólnego. Powstało mnóstwo znajomości, które przetrwały do dziś.

Może to sprawił – nieuchwytny po latach – porywający wszystkich entuzjazm.

Abecadło Weyhera

Powszechnie stało się przekonanie, że należy utworzyć Samodzielny Niezależny



Władysław Findeisen

Związek Zawodowy Pracowników Politechniki Warszawskiej.

Jak mówi prof. **Ewa Osiecka** z IL, jedna z pierwszych działających na rzecz utworzenia nowych związków na Wydziale:

– Początki były spontaniczne, ale dość szybko ujęte w ramy organizacyjne.

11 września powstał Uczelniany Komitet Koordynacyjny Komitetów Założycielskich, a tydzień później podjęto inicjatywę zwołania Zjazdu. Miał się tym zająć Komitet Organizacyjny.

Zbigniew Lewandowski odbijał na ksero pierwsze ogłoszenie dotyczące zebrania tworzącego się właśnie związku.

ku kolegów z wydziału i zgłosiliśmy swój akces.

W pokoju 122, na Wydziale Chemicznym, gdzie pracowała wyżej wspomniana, powstał, jak mówi:

– *Nieformalny punkt, centrala dla tych, którzy chcieli coś robić. Tam też odbyło się wiele spotkań i gorących dyskusji z udziałem przedstawicieli różnych wydziałów.*

Ci, którzy tam bywali, uważają prof. **Weyherta** za swojego „guru”.

– *Człowiek dużej wiedzy, ducha i nie-
spożytej energii. Był już starszym panem, a nasze spotkania często kończyły się nad ranem. Kiedy my nie wytrzymaliśmy, upominał nas: „Chwileczkę moi drodzy” – stawał na jednej nodze i mówił: „Ja dalej przemawiam” – wspomina **Grażyna Maciejko** z Wy-*

działu Chemicznego, a dr **Rembertowicz** dodaje:

– *Część osób wychodziła wcześniej, inni zasypiali przy stołach, a profesor był nie do zdarcia. Kiedy kończyło się zebranie, siadał przy maszynie i pisał komunikat, który rano był odbijany na ksero i rozwieszany na wydziałach.*

Zbigniew Lewandowski – nie tylko odbijał komunikaty, ale także uczestniczył w wielu takich spotkaniach. Jedno szczególnie zapadło mu w pamięć.

– *Profesor rozpoczął je mniej więcej tak: „Proszę Państwa znajdujemy się w okresie rewolucji...”*

Kiedy na przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego został wybrany dr **Andrzej Smirnow**, pierwszym krokiem było wysłanie delegacji do rektora prof. **Stefana Pasynkiewicza**.

– *Rektor słuchał wszystkich z kamienną twarzą – wspomina dr **Tarwacki**. – Powiedziałem, że potrzebujemy pomieszczenia, telefonu i wyposażenia biurowego. Zgodził się. To był przełom, ponieważ w tym momencie zaczęła się legalna działalność.*

Wszystkie wspomniane wcześniej wydarzenia września '80 toczyły się jak lawina.

17 września przedstawiciele 12 Komitetów Założycielskich utworzyli Komitet Organizacyjny mający się zająć przygotowaniem do Zjazdu Założycielskiego. 22 września było już 50 Komitetów Założycielskich, a dwa dni później 57.

Dwie, niezapomniane doby

27 września 1980 roku rozpoczął się Zjazd Założycielski Niezależnego Samo-

rzędnego Związku Zawodowego Pracowników Politechniki Warszawskiej, który już następnego dnia do NSZZ dodał słowo – „Solidarność”.

Dla uczestników i obserwatorów były to dwie niezapomniane doby. Pierwszego dnia obrady zakończono po północy, drugiego podobnie. Część osób nocowała na Uczelni.

Przed zjazdem, Komisja Statutowa, której członkami byli m.in. dr **Bogusław Obiegała**, prof. **Krzysztof Schmidt-Szałowski** i dr **Jerzy Ołędzki**, przygotowywała statut przyszłego związku. Dr **Ołędzki** wspomina:

– *Miałem kilka różnych statutow, by na ich podstawie opracować nasz. We wszystkich była mowa o socjalistycznej ojczyźnie. Pamiętam spotkanie Komisji Statutowej, na którym ktoś zaproponował, by wykreślić ten przymiotnik i większość zebranych to zaaprobowała. Zapanował nastrój „grozy” – oto targnęliśmy się na... świętość. W tym momencie poczułem powiew historii.*

Projekt przygotowany na zjazd okazał się... nieprzydatny, kiedy uznano, że związek założony na PW włącza się w strukturę NSZZ „Solidarność”.

– *Trzeba go było tak przerobić, aby następnego dnia mógł być przyjęty jako regulamin Organizacji Zakładowej – wyjaśnia prof. **Schmidt-Szałowski**. – Tak się złożyło, że padło na mnie, gdyż inni zdążyli po obradach opuścić Uczelnię. Chyba prof. **Weyhert** powiedział, że do rana muszę skończyć. Skończyłem. Statut był gotowy.*

Zjazd odbywał się w Małej Auli. Obrady były retransmitowane do Dużej, gdzie wszyscy zainteresowani mogli śledzić przebieg spotkania na monitorach.

– *Nasze służby techniczne musiały pilnować kabli transmisyjnych, bo były próby przerwania transmisji – wspomina dr **Tarwacki**.*

Na otwarciu zjazdu pojawił się rektor **Pasynkiewicz**.

– *Oświadczył, że jeśli chodzi o zgodę na ten zjazd, to musi się narodzić i wyszedł. Nie sądzę, żeby kogokolwiek o cokolwiek pytał – konkluduje dr **Hanna Rembertowicz**.*

Po jakimś czasie rektor wrócił.

– *Powiedział mniej więcej tak: KW się nie zgadza, ale on się zgadza – tak zapamiętał to **Bogdan Dzierżawski**. – Starał się być taki dobry.*

W obradach uczestniczył niemy świadek – w kącie sali stało popiersie **Lenina**. Niektórzy zastanawiali się, czy by ich poparł?

No, nareszcie

Pierwszego dnia obrad nie było jeszcze mowy o „Solidarności”, aczkolwiek...

Dr **Potyński** zapamiętał żarliwą dyskusję: utworzyć branżowy związek, przyłączyć się do „Solidarności”, czy może do Związku Pracowników Nauki Oświaty i Techniki?



Andrzej Gaca

– *Powiesiłem je w bibliotece, tuż obok ogłoszenia zawierającego informacje o zebraniu członków ZNP z biblioteki. Spotkanie odbyło się w Małej Auli. Rada Oddziałowa podała się do dymisji i nie wybrano nowej. Mnóstwo osób deklarowało chęć przynależności do nowych związków, a pani **Renata Mayer** powiedziała, że do takich, w których jest **Lech Wałęsa**.*

Na wielu wydziałach pojawiły się ogłoszenia o zebraniu. Dr **Przemysław Majewski** został na nie oddelegowany przez kolegów. W podobny sposób na takie spotkanie trafił mgr inż. **Tadeusz Popończyk** z Wydziału Mechanicznego Technologicznego (obecnie Inżynieria Produkcji):

– *Ruchowi tworzenia niezależnych i samorządnych związków na PW patronował profesor **Stefan Weyhert**, którego śmiało można by było nazwać ojcem chrzestnym „Solidarności” na Uczelni. Pochodził z przedwojennej rodziny profesorskiej i jak nikt inny mógł nam przekazać wiedzę o tym, jakie były kiedyś na uczelni struktury demokratyczne, na czym polegała jej autonomia, jak wyglądały wybory. To było takie abecadło **Weyherta**, który wieczorami – w swoim chemicznym sanktuarium, jak wtedy nazywaliśmy aulę – o tym wszystkim opowiadał.*

Dr **Dzierżawski** również wskazuje ten Wydział jako kolebkę ruchu związkowego.

– *W zakładzie prof. **Weyherta** ogłoszono zapisy do nowego związku. Przyjmowała je chyba **Hanka Rembertowicz**. Zebrałem kil-*

– Zastanawialiśmy się także, jaka powinna być struktura w „Solidarności” – terytorialna czy branżowa? Zabrałem wówczas głos i powiedziałem, że jeśli chodzi o reprezentowanie interesów pracowników, to korzystniejsza jest branżowa, ale w tej chwili przed Polską stoi szansa na rozwiązanie kwestii zasadniczych i ze względu na to korzystniejsza jest terytorialna. Do tego momentu moja ocena była słuszna, ale w drugiej części wypowiedzi popełniłem błąd mówiąc, że jak już przeprowadzimy te zmiany i dojdziemy do wniosku, że należy przejść do struktury branżowej, zawsze będziemy mogli to zrobić – dodaje dr **Janusz Sobieszczanski**.

Prof. **Ewa Osiecka** z atmosfery tamtych dni przypomina sobie swoje zdumienie, kiedy po długim okresie milczenia i politycznego zakłamania ludzie zaczęli mówić otwarcie.

– Pamiętam – bardzo odważne politycznie jak na owe czasy – wystąpienie doc. **Konstantego Kurmana** dotyczące sytuacji Polski, w którym mówił o podległości Moskwie. Pomyślałam – no nareszcie! Pierwszy raz publicznie, w tak dużym gronie, ktoś mówi prawdę.

Pierwszego dnia, w tajnym głosowaniu zapadła decyzja o przystąpieniu do „Solidarności”. Powołano komisję mającą przygotować materiały na następny dzień, ze wskazaniem, że związek przystępuje do „Solidarności”.

Stało się to nazajutrz. Pierwszym przewodniczącym został dr **Andrzej Smirnow**. Wspomina, jak szczegółowo wypytywano wszystkich kandydatów do władz.

– W Komisji Zakładowej znalazł się także

w sobotę rano, a wrócił do domu w poniedziałek nad ranem.

– Na bieżąco odbijałem na ksero wszystkie materiały dla delegatów. Pomiędzy moją pracownią a Małą Aulą nieustannie krążyli łącznicy.

Efekty zjazdu są znane, ale było coś jeszcze...

– Atmosfera. Było to najmniej zbiurokratyzowane, niesłychanie spontaniczne, bardzo emocjonalne wydarzenie. Nigdy – ani wcześniej, ani później – nie uczestniczyłem w tak licznych zgromadzeniach, które byłoby tak świadome tego, co chce uczynić – mówi dr **Andrzej Szuster**.

Zjazd przeciągnął się aż do poniedziałku. Delegaci byli już bardzo zmęczeni. Jedni siedzieli jeszcze przy stolikach, a inni porozchodzili się w różne miejsca sali. Za stołem prezydyjnym zebrała się mała grupka.

– Stałem razem z nimi – wspomina **Zbigniew Lewandowski**. – Było około drugiej w nocy. Widziałem jak dziennikarz „Kurierza Polskiego” przepisywał od kogoś z moich kolegów treść uchwały Zjazdu. W pewnym momencie ktoś powiedział mu, żeby przestał przepisywać, ponieważ to jest starsza wersja tej uchwały.

– A gdzie jest najnowsza? – spytał dziennikarz.

– Ma ją w tej chwili korespondent „Wolnej Europy” – padła żartobliwa odpowiedź.

Na dźwięk słów „Wolna Europa” pismak tak się przestraszył, że w pośpiechu wyszedł z sali obrad.

Następnego dnia dr **Potyński**, uczestnik zjazdu, spotkał sekretarza instytucyjnej komórki partyjnej, który zwrócił się do niego mniej więcej tak:

– Tyle godzin siedzicie na tym zjeździe, musieliście zdrowo popić.

Stygmat odchodzących czasów?

Uczelniane „porządki”

Legalna, ukonstytuowana, choć jeszcze nie zalegalizowana formalnie „Solidarność” PW zaczęła działać natychmiast. Pierwszoplanową sprawą było usunięcie rektora, prof. **Stanisława Pasyńkiewicza**.

– Uważaliśmy, że skończył się okres dyktatury partii w Uczelni. Zwróciliśmy się do ministerstwa o usunięcia rektora. Pod koniec roku przystano komisję. Była to typowa metoda rozmywania spraw – komentuje dr **Smirnow**. – Komisja uznała, że nie ma podstaw do odwołania...

Tymczasem wobec rektora było wiele, bardzo poważnych zarzutów.

Dr **Trzaska Durski** wymienia jednym tchem: talony na samochody, mieszkania, działki, prywatne wyjazdy finansowane z pieniędzy Uczelni, sytuacja na Wydziale Chemicznym i sławetna „Sorbona”.



Krzysztof Kozakiewicz

– W czasach gierkowskich wielu działaczy partyjnych doszło do wniosku, że warto by mieć wykształcenie i to najlepiej wyższe. Problem jednak był w tym, że wielu z nich nie miało nawet matury. Po drugiej stronie ulicy, przy Politechnice, na rogu Noakowskiego, była szkoła wieczorowa. W pewnym momencie zaczęły tam parkować limuzyny – towarzysze jeździli do szkoły. Robili maturę, a potem przenosili się na drugą stronę ulicy, do nas. Na PW powołano wtedy Międzywydziałowe Studium Kształcenia Naukowców Przedmiotów Technicznych, na którego czele stał dr **Stanisław Dawidziuk**. Tyle tylko, że jego studenci w większości przypadków nie mieli czasu studiować. Jeden z naszych kolegów, który prowadził zajęcia wieczorowe, zorientował się, że część z nich ma w indeksach wpisy, które nie są jego. Po nitce do kłębka – okazało się, że jest dużo fałszywych wpisów. **Dawidziukowi** dobrano się do skóry, ale nikt z nas nie miał wątpliwości, że rektor musiał o tym wiedzieć, zwłaszcza że piastował jakąś wysoką funkcję w KC.

Kiedy sprawa „Sorbonny” stała się głośna, w studium natychmiast zaczęto wymieniać dokumentację. Jednak członkowie „Solidarności” działali szybciej i dostarczyli do Komisji Zakładowej kserokopie oryginałów, z którymi delegacja KZ udała się do ministerstwa jeszcze raz. Rektor nie został oficjal-



Andrzej Gomuliński

członek partii **Antoni Rusinek**. Wystąpił z niej później, dość demonstracyjnie. Pytano go, którą pierwszą legitymację by zjadł, tę czerwoną czy „Solidarności”?

Z kularów zjazdu przyglądał się **Zbigniew Lewandowski**. Przyszedł do pracy

nie odwołany, ale... 28 stycznia 1981 r. złożył rezygnację i otrzymał – co wiele osób uznało za skandal – absolutorium Senatu.

Sprawa „Sorbonny”, a ściślej dr **Dawidziuk**, trafiła do komisji dyscyplinarnej, na której czele stał wówczas dr **Jerzy Olędzki**.



Zbigniew Lewandowski

Zajęła się nią także prokuratura, z którą rzecznik ściśle współpracował do... stanu wojennego. **Dawidziuk** został skazany na cztery lata więzienia. Wyszedł w roku 1987.

Sztandar, choć nie ten

Kiedy związek został już formalnie zarejestrowany, pojawił się problem sztandaru. Projekt wykonał prof. **Ludomir Stupeczanski** z Architektury, ale... sztandar został wykonany jesienią bieżącego roku. Po raz pierwszy pojawił się w listopadzie, podczas uroczystości odsłonięcia pamiątkowej tablicy „Solidarność” w Dużej Auli. Do tej pory, w rozmaitych uroczystościach poza Uczelnią, uczestniczył jedynie poczet sztandaru Politechniki Warszawskiej.

Był między innymi 30 maja 1981 roku podczas warty honorowej przy trumnie Księdza Prymasa **Stefana Wyszyńskiego**, a potem podczas mszy żałobnej. W Ursusie, 4 września, podczas obchodów pierwszej rocznicy utworzenia NSZZ Mazowsze, a także 28 listopada 1981 roku.

– *Studenci kierunku Mosty i Budowle Podziemne udali się ze sztandarem Politechniki na uroczystość poświęcenia mostu w Warszawie – pierwszego od 1947 oficjalnego poświęcenia – którego dokonał biskup **Jerzy Modzelewski**. Most, który – decyzją władz partyjnych – pierwotnie miał nosić imię **Lenina**, otrzymał za patrona generała*

***Stefana Grota-Roweckiego**, a przebiegającą przez niego trasę nazwano Trasą Armii Krajowej. W uroczystości brali udział m.in. córka generała **Roweckiego**, **Ilona Mielczarska**, jego brat – **Stanisław** oraz wnuk – **Piotr Mielczarski** – wspomina dr **Obiegalka**.*

Członkowie „Solidarność” rozpoczęli także prace nad Statutem PW.

– *Była nas trójka wytypowana ze związku – wspomina dr **Szuster**. – Ja, dzisiejszy prof. **Jerzy Woźnicki** i dr **Elżbieta Przybyła-Piwko**. Do stanu wojennego zamknęliśmy etap początkowy. Naszą ideą było, aby w Statucie znalazło się kilka elementów, które sytuowały PW jako organ opiniotwórczy. I tak też się stało.*

Preambuła – w dużej części autorstwa **Andrzeja Szustera** – zawiera zapis potwierdzający fakt, że PW brała udział w demokracji życia publicznego.

Demokracja aż do... bólu

– *Po zjeździe Komisja Zakładowa działała niemal 24 godziny na dobę – wspomina prof. **Supronowicz**. – Ciągłe ktoś przychodził, lawiny spraw, niekończące się dyskusje. Sporo czasu marnowaliśmy, ale ludzie mieli ogromną potrzebę, aby się spotykać.*

Przykład owego marnowania czasu wspomina **Zbigniew Lewandowski**:

– *Podczas jednego z zebrań Komisji Zakładowej mieliśmy ustosunkować się do pisma od dyrektora administracyjnego w jakiejś kontrowersyjnej sprawie. Strasznie długo to trwało. Redagowali wszyscy, kłócili się o kropki, słowa, aż w końcu ktoś powiedział, że trzeba powołać komisję, która sformułuje nasze stanowisko, a my potem to przegłosujemy.*

W archiwum „Solidarność” zachowały się dokumenty z tamtych, gorących czasów. Znajduje się wśród nich m.in. opaska teczka zawierająca ponad 750 postulatów zgłoszonych podczas jednego zebrania. Czego dotyczyły? Możliwości leczenia na Uczelni dla emerytów i rencistów, zniżki dla dzieci pracowników, zwiększenia bazy rekreacyjno-sportowej, paczek mięsnych...

Posiedzenia KZ ciągnęły się niemal bez końca. Bardzo pilnie przestrzegano demokratycznych procedur. Poza Komisją zbierało się też plenum złożone z przewodniczących lub przedstawicieli kół działających na PW. Inż. **Elżbieta Orkan-Łęcka** z Wydziału Chemicznego wspomina, że prawie wszystkie decyzje były głosowane.

– *Stawialiśmy na demokrację. Demokrację aż do bólu. Wyciągnęliśmy jednak pewne wnioski z przeszłości.*

Nie tylko takie wnioski. Na Uczelni, jak wspomina pani **Elżbieta**, odbywały się także spotkania z pracownikami różnych zakładów pracy – Huty Warszawa, tramwajarzami – którzy, jak mówi:

– *Przychodzili, wyjaśniali swoje postulaty i tłumaczyli wiele spraw, dla nas nieznanych, ze względu na inną specyfikę pracy. Poza tym my, jako tzw. jajogłowi, mieliśmy niewielką siłę przebicia, a chodziło o to, byśmy współdziałali. To dawało nam siłę. Przecież kiedyś skutecznie skłócano nas z robotnikami.*

Praca u podstaw

Zmiany na Wydziałach, w rozmaitych jednostkach administracyjnych Uczelni, miały różnorodny charakter.

– *W Studium Języków Obcych mieliśmy dużo rusycystek zaangażowanych politycznie. Jedna była żoną jakiegoś radzieckiego pułkownika, inna esbeka, ale mimo to wybraliśmy własnego kierownika studium, a kilka osób straciło swoje funkcje – opowiada mgr **Andrzej Czaja**, w owym czasie przewodniczący Koła „Solidarność”.*

– *Instytut Drog i Mostów na naszym Wydziale nazywaliśmy trudnym. Dlaczego? Jego dyrektorem był prof. **Zbigniew Grabowski**, zastępca kierownika Wydziału Nauki w KC PZPR. Postała znana na Politechnice – był przez pewien czas komisarycznym rektorem Politechniki – wspomina dr **Obiegalka**. – *W Instytucie należało podjąć zdecydowaną pracę od podstaw. Byłem wówczas przewodniczącym jednego z czterech kół istniejących na Wydziale. Każdy instytut miał swoje. W ramach działalności związkowej podejmowaliśmy różne inicjatywy – i te codzienne, dotyczące spraw pracowniczych, jak i takie o regionalnym lub ogólnopolskim znaczeniu. Stosunkowo mało było uroczystości, ale tuż przed Świętami Wielkiej Nocy w roku 1981, jedna z koleżanek, nieżyjąca już **Natalia Zdrojewska**, przyniosła – przechowywany w domu – krzyż, zdjęty ze ściany w jej Katedrze w czasach berutowskich. Powiesiliśmy go na ścianie w sali wykładowej Instytutu i w Wielki Piątek – zebrał się pod nim na Anioł Pański. Było to wydarzenie nie tylko instytutowe. Jedni uważali, że to prowokacja w stosunku do dyrektora Instytutu, inni uznali za oczywiste, że ten symbol chrześcijański znalazł się znowu na Uczelni. W tej samej sali zebrał się 14 maja 1981 roku po zamachu na Papieża. Później stała się ona miejscem spotkań okolicznościowych, nie przerwanych w stanie wojennym i aktualnych także dzisiaj.**

Bardzo trudna sytuacja zapanowała na Wydziale Chemicznym, który nie tylko był „kolebką” nowych ruchów związkowych, ale także „tygłem” zadawnionych, narastających latami spraw o charakterze personalnym, dydaktycznym i naukowym, które teraz trzeba było wyjaśnić.

Profesor **Pasynkiewicz** pozbywał się niektórych niewygodnych ludzi z wydziału, m.in. prof. **Mieczysława Mąkoszy**, wybitnego chemika-organika, równocześnie pracownika PAN.

– Wytworzyła się nietypowa sytuacja, profesor nadal przychodził na zajęcia – miał tu swoich studentów – ale robił to nieoficjalnie. Prowadził je, z tego co wiem, charytatywnie – wspomina prof. **Schmidt-Szałowski**.

– Kolejna sprawa dotyczyła obecnego prof. **Leszka Makaruka**, który był szykanowany przez dyrekcję Instytutu, podobnie zresztą jak – bardzo zasłużony dla Wydziału – prof. **Włodzimierz Dahlig**, który z inicjatywy rektora stanął przed komisją dyscyplinarną, dlatego że ujawnił niejasne interesy prowadzone w Instytucie pod parasolem dyrekcji. Sprawę udało się zakończyć pomyślnym orzeczeniem dla niesłusznie obwinionego profesora. Przywrócono do pracy również prof. **Mąkoszę**.

Dzięki interwencjom związkowców „z wygnania” na Wydział powrócił także prof. **Zbigniew Brzozowski**.

– Zajmował się tworzywami sztucznymi, miał na swoim koncie dużo osiągnięć, m.in. dotyczących pianek dla budownictwa. Wtedy to była nowość. Chyba w '78 lub '79 jego prace – wysłane oficjalnie przez Politechnikę – trafiły na wystawę w Brukseli, gdzie otrzymał za nie złoty medal. I nagle, ku naszemu zdumieniu, **Zbyszek** został wyrzucony przez rektora z Wydziału i zawieszony w prawach nauczyciela akademickiego. Nie usunięto go z Uczelni, ale karnie przeniesiono na Wydział Inżynierii Sanitarnej i Wodnej. Upomnieliśmy się o niego w roku 1981 i wrócił – mówi dr **Trzaska Durski**.

Dr **Hanna Rembertowicz** wraz z dr **Ewa Kołakowską** zajęły się sprawami dydaktyki:

– W owym czasie było tak, że wydziały musiały się dzielić na instytuty. Taki podział w naszym przypadku był pomysłem szczególnie niefortunnym, ponieważ chemia nie

nie archaiczny. Natomiast dokonano go 30 lat później, jako rzeczy niezwykle nowatorskiej. Chodziło nam więc przede wszystkim o likwidację instytutów i korelację przedmiotów oraz przywrócenie prawidłowej dydaktyki i porozumienia pomiędzy wykładowcami.

Instytuty zostały zlikwidowane, ale to nie oznaczało końca problemów.

– Wyjątkowo trudnym zadaniem było przywrócenie racjonalnego programu studiów – wspomina prof. **Schmidt-Szałowski**. – Władze Uczelni, pod kierunkiem rektora, usiłowały przekształcić Politechnikę w uniwersytet techniczny. Przedmioty techniczne znacznie ograniczono, podlegały poważnym przemianom bądź nawet redukcji. Natomiast rozbudowano zagadnienia podstawowe, ogólne. Tymczasem nasz Wydział miał markę w kraju, ponieważ nasi absolwenci, oprócz teoretycznych, mieli dobre podstawy techniczne, inżynierskie. Radzili sobie nie tylko w laboratoriach, ale i w przemyśle. Prowadziliśmy więc prace nad nowym programem, przywracając sprawdzone rozwiązania. Dziekan był jednak niechętny jakimkolwiek zmianom i grał na zwłokę.

Z inicjatywy koła „Solidarności” zwołano ogólnowydziałowe zebranie pracowników, na którym negatywnie oceniono działalność dziekana. Wkrótce złożył rezygnację.

Pierwsze wolne wybory

Wiosną '81 kończyły się kadencje władz, zarówno całej Uczelni, jak i Wydziałów. Na czele nowych stanęło wielu członków „Solidarności”. Nie sposób wymienić wszystkich, ale z uwagi na okoliczności, o których później będzie mowa, należałoby wspomnieć prof. **Pawła Murza-Muchę**, który został dziekanem Wydziału Mechanicznego Technologicznego i dr **Zbigniewa Wrzeńskiego**, który został prodziekanem.

Do Rad Wydziałów oraz do Senatu weszli – będący członkami związku – przedstawiciele adiunktów oraz pracowników technicznych. **Grażyna Maciejko**, która została przewodniczącą senackiej Komisji Pracy, Pła-

cy i Polityki Socjalnej, wspomina:

– Mój szef był zszokowany, że pracownik ustawiony tak nisko w hierarchii naukowej może być członkiem nie tylko RW, ale też Senatu i... odzywać się w obecności „starszych”. Usłyszałam: „To Pani nie zwalnia z jakichkolwiek obowiązków w zakładzie. Je-

śli musi Pani brać udział w tych posiedzeniach, może sobie Pani zmienić godziny pracy”. Pilnował, czy na pewno je odpracowuję.

Z nowymi członkami RW „walczył” na Wydziale prof. **Pasynkiewicz**.



Przemysław Majewski

– Zgłaszał setki najróżniejszych pomysłów – wspomina **Grażyna Maciejko**. – Dążył do tego, aby jakoś rozmyć sprawę, zamieszać, nie doprowadzić do konkluzji. Pamiętam, jak kiedyś zdenerwowany tym, że dyskusja zmierza w niepożądanym przez niego kierunku, powiedział: „No to żeby jeszcze zamieszać... zgłaszam taki pomysł...”. Uparłam się, żeby to zdanie zapisać do protokołu. Wściekł się. Zresztą wielokrotnie miał do mnie pretensje, m.in. o to, że jestem merytorycznie zbyt dobrze przygotowana do dyskusji.

Inż. **Orkan-Łęcka** na polecenie Komisji Wykonawczej Koła na Wydziale Chemicznym nagrywała, a potem spisywała, słowo w słowo – cóż za niewdzięczna praca – wszystkie posiedzenia RW, które potem były do wglądu w dziekanacie.

Na nowego dziekana na Wydziale został wybrany ówczesny doc. **Schmidt-Szałowski**, dla którego była to bardzo niezręczna sytuacja.

– Przecież nie po to zostałam przewodniczącą Koła „Solidarności”, by zajmować pozycję kierowniczą na Wydziale. Do ostatniej chwili się wahałam, jednak pod naciskiem kolegów uległam.

Najistotniejszą jednak sprawą był wybór nowego rektora. 11 kwietnia 1981 roku zgromadzenie wyborcze, które prowadził profesor **Stefan Weyher**, wybrało na rekto-



Grażyna Maciejko

dzieli się na organiczną i nieorganiczną. Kiedy w latach 50. XX w. zaczynałam studia, prof. **Józef Zawadzki** kładł nam do głowy, że taki podział należy uznać za absolut-

ra prof. **Władysława Findeisena**, członka „Solidarności”.

Politechnika Warszawska jako pierwsza w kraju dokonała wyboru rektora.

Zapaleńcy bez doświadczenia

Codziennie ukazywały się – opatrzone czerwonym paskiem – komunikaty KZ.

mańskiego oraz **Stefana Pruszkowskiego**, który robił zdjęcia.

„Cola” dla dzieci, mleko dla dorosłych

Spontaniczność i entuzjazm trzeba było jednak jakoś okiełznać, a strukturę związkową uporządkować. Dlatego opracowywano różne regulaminy oraz powołano rozmaite podkomisje.

Dr **Majewski** sięga do opasłych segregatorów.

– Powstało ich 16. Między innymi do spraw wynagrodzeń, spraw socjalnych, działalności naukowo-badawczej, organizacji związków, zażaleń i interwencji, zapomóg, zasiłków, wczasów, podwyżek, kontaktów ze-

wewnętrznych... Wszystkie naprawdę działały – dodaje jakby z pewnym zdziwieniem.

W Komisji Interwencji był między innymi **Tadeusz Niedziałek**, szef Koła w Bazie Transportowej PW, członek KZ.

– Pracowałem tam razem z, nieżyjącym już, **Jankiem Olszewskim**. Zajmowałem się tzw. ludzkimi sprawami. W naszym ośrodku w Wildze panie obsługujące kuchnię skarżyły się, że są wykorzystywane i okradane. Przychodzili ludzie, bo ich pozbawiono premii.

Przemysław Majewski uzupełnia te relację o dość, hm, nietypową sprawę:

– Pewna pani skarżyła się na swojego męża utrzymującego intymne związki z koleżanką z zakładu, w którym pracował.

Powstała także Komisja Rewizyjna, ale – jak mówi dr **Włodzimierz Tarwacki**, jeden z jej członków:

– Nie bardzo miała co rewidować. Jeśli pojawiły się podejrzenia o współpracę niektórych osób ze służbami specjalnymi, a nie było sądu koleżeńskiego, takie sprawy trafiały o nas. Były trudne, bo oprócz podejrzeń nie było innych dowodów ani możliwości sprawdzenia takiego człowieka. Dlatego stwierdziliśmy, że naszą najskuteczniejszą bronią będzie pełna jawność działania.

Zaczęto również wyjaśniać sprawy socjalne – kto i dlaczego dostawał talony na samochody, mieszkania itd. Informacji dotyczących tego typu spraw dostarczały władze Uczelni. Z ZNP pertraktowano także na temat podziału majątku i wykorzystywania funduszu socjalnego. Mgr **Popończyka** jako melomana zainteresowała kwestia biletów.

– Sprawdziłem, że ZNP miała abonament do Teatru Wielkiego i dopłacała do biletów, ale rozprowadzała je tylko pomiędzy wybranymi. Postanowiliśmy to przejąć. Ustaliśmy odpłatność, a reszta szła z pieniędzy związkowych. Po krótkim czasie okazało się, że chętnych jest tak dużo, iż trzeba było załatwić kolejny abonament, potem jeszcze jeden i jeszcze następny.

Na wiosnę pracownicy Biblioteki Głównej zorganizowali kiermasz książek dla dzieci. Dodatkową atrakcją było kilka skrzynek coca-coli „wystanych” przez **Zbigniewa Lewandowskiego** w Super Samie. Do picia było także mleko.

– W pewnym momencie podeszli do mnie robotnicy z Uczelni, którzy chcieli kilka butelek coli. Wtedy pani **Elżbieta Dudzińska** chwyciła tubę i powiedziała: „Proszę państwa! Coca-cola jest dla dzieci, a mleko dla dorosłych!” – wspomina ten zabawny incydent **Zbigniew Lewandowski**.

W pierwszych dniach maja '81 NZS zorganizował w Małej Auli wystawę wydawnictw niezależnych.



Tadeusz Niedziałek

Wtedy wywieszona na tablicy ogłoszeń kartka gromadziła tłumy. Początkowo komunikaty trafiały do **Zbigniewa Lewandowskiego** w pracowni ksero.

– Czasem były to sytuacje dość humorystyczne. Przychodził przedstawiciel związku i mówił: „Wydaliśmy komunikat, odbij to w 200 egzemplarzach”. Zaraz potem przychodził przedstawiciel PZPR i prosił, żeby odbić mu komunikat w sprawie stanowiska „Solidarności”, oczywiście także w 200 egzemplarzach. Potem przychodził student z NZS-u z pismem popierającym „Solidarność”.

Oczywiście też chciał 200 egzemplarzy. Z czasem komunikaty zaczęto drukować na powielaczu. Rosła także ich objętość. Już nie jedna kartka formatu A4, ale kilka. Dojrzewano do wydawania pisma. Pierwszy numer miesięcznika „Solidarność PW” wyszedł w marcu '81. Dość późno, ale – jak wspomina mgr **Gaca** – początki były trudne.

– Wszyscy byliśmy pełniymi zapału wolontariuszami, ale nie posiadaliśmy żadnego doświadczenia dziennikarskiego. Zanim doszło do wydania pierwszego numeru, odbyliśmy wiele spotkań, naradzając się, jak ma wyglądać pismo – zarówno od strony graficznej, jak i organizacyjnej. W PAP-ie pracowała moja znajoma, red. **Halina Górską**, do której zwróciłem się o pomoc.

Autorów tekstów było wielu, stan zespołu się zmieniał, ale niektórzy pisywali dość systematycznie. Mgr **Gaca**, oprócz siebie, wymienia: dr. **Zbigniewa Dargiela**, mgr **Wandę Staszewską**, dr. **Tadeusza Zembrzuskiego**, dr. **Sławomira Tu-**



Bogusław Obiegałka

– Odbyła się za zgodą prorektora ds. studenckich, prof. **Andrzeja Ruszkiwicza**, który zapewne zaaprobował to jeszcze zanim zostałem rektorem – wspomina prof. **Findeisen**. – To była rewelacja jak na owe czasy. Pojawił się jednak pewien problem: studenci na wprost wejścia umieścili dużą karykaturę **Leonida Breżniewa** przedstawionego jako caryca **Katarzyna II**. Obawiałem się, że może z tego wyniknąć jakaś

awantura. Pomogła „Solidarność”, a konkretnie dr **Tadeusz Diem**, który uzasadnił studentom konieczność zdjęcia karykatury używając argumentu, że... nasi wschodni sąsiedzi nie mają poczucia humoru. Tydzień później NZS urządził kiermasz wydawnictw niezależnych na Terenie Głównym. W pewnym momencie przy bramie pojawiła się jakaś amerykańska telewizja. Nie pozwoliłem na jej wejście. Po jakimś czasie przyjechała telewizja polska, ale także nie dostała się do środka. Nie chciałem nagłaśniać tego wydarzenia, ponieważ mogło ono zostać wykorzystane przeciwko Uczelni.

W czerwcu 1981 roku, z inicjatywy Wydziału Inżynierii Sanitarnej i Wodnej, „Solidarność” PW objęła opieką dom dziecka w Białoleścu, a po pewnym czasie także drugi, w Piłudach.

– Zbieraniem i rozwożeniem darów zajmowała się – wspomina dr **Szuster** – „żelazna para”: mgr **Elżbieta Dudzińska** z Biblioteki Głównej i dr **Wojciecha Stefański** (WISiW). Jeździli tam także w stanie wojennym.

Niezwykłym wydarzeniem na Uczelni było odsłonięcie tablicy upamiętniającej dokonania **Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”**. Jako pomysłodawcę **Andrzej Szuster** wymienia kolegę z wydziału – mgr inż. **Jerzego Mroza**. Nikt wtedy nie przypuszczał, że z całą sprawą będzie tyle zachtu.

– Pracowałem nad tym z **Jeremim Szczeniowskim**. Wtedy także miały miejsce moje pierwsze, bliższe kontakty z rektorem **Findeisenem**, który mnie po prostu oczarował. Pamiętam, ile nasza trójka miała z tym przedsięwzięciem problemów. Pozwolenie od prezydenta miasta, naczelnego architekta Warszawy, burmistrza dzielnicy. Znalezienie kamienia, zamówienie, przewiezienie.

Udało się. Uroczystość odbyła się 28 października.

Gotowość na wszelki wypadek

Wśród rozlicznych dokumentów opracowywanych w KZ znalazły się również szczegółowe zasady dotyczące akcji strajkowych organizowanych na Uczelni. Czym się różnią, np. strajk ostrzegawczy częściowy od całkowitego, na czym polega strajk okupacyjny? Uczelnia podejmowała tego typu akcje – zgodnie z ogólnopolską polityką związku – w odpowiedzi na różne wydarzenia w kraju oraz posunięcia władz.

Np. protest związany z rejestracją statutu „Solidarność” w sądzie i dopisaniem preambuły, wypadki w Bydgoszczy...

– Myśleliśmy o przyszłości Uczelni, ale także o przyszłości kraju. Nasza działalność biegła dwoma nurtami – mówi dr **Janusz Sobieszkański**. – Od początku, w ramach struktury związku, podejmowaliśmy próby stworzenia grupy zajmującej się

sprawami nauki i szkolnictwa wyższego. O ogromną rolę odegrał tu prof. **Weyher**. Chyba w połowie października '80 na Uczelni odbyło się pierwsze spotkanie środowiska „Solidarność” szkół wyższych w Polsce, a dzień później, w Gdańsku, zebraли się przedstawiciele szkół wyższych, instytutów PAN i chyba jednostek badawczo-rozwojowych. Potem od razu powstała ogólnopolska Komisja Porozumiewawcza Nauki NSZZ „Solidarność”.

Na Politechnice odbyły się również m.in.: zebranie założycielskie „Solidarność” Rolników Indywidualnych, kongres Ogólnopolskiego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania, Zjazd Regionu Mazowsze, zjazdy regionalne, dwukrotnie obradowała Krajowa Komisja Koordynacyjna. Obsługą techniczną podczas Zjazdu Regionu Mazowsze, czyli zapewnieniem łączności telefonicznej i telexowej delegatów z ich Komisjami Zakładowymi, zajmował się dr **Tarwacki**.

– W okresie niepokoїв strajkowych byłem także odpowiedzialny za zorganizowanie łączności KZ z jednostkami położonymi poza Terenem Głównym. Po pierwsze każda jednostka – wydział lub instytut – miała swojego łącznika, a on posiadał spis telefonów awaryjnych – najbliższych topograficznie, prywatnych osób przebywających w okolicznych budynkach. To wszystko na wypadek, gdyby wyłączono telefony. Nasze wyposażenie stanowiły również radiotelefony „Echo” – oczywiście tak przerobione, by miały większy zasięg. W posiadaniu niektórych instytutów znajdowały się aparaty Radmoru – takie same jak milicji i korzystające z tego samego pasma. W razie czego – władze nie miały możliwości zagłuszenia ich. Osoby, które je posiadały, miały zadanie utrzymywać je w ciągłej gotowości. Do porozumiewania się za pomocą tych aparatów dr **Henryk Stelmasik** (Wydział Elektroniki) przygotował specjalne tablice kodowe.

Dni ostatnie

– Byliśmy pełni zapału i uważaliśmy, że taki stan będzie trwał wiecznie – wspomina dr **Rembertowicz**.

30 listopada wybuchł strajk w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej. Zraz potem pojawił się tam prof. **Weyher**, a kiedy strajk – przy pomocy desantu z helikoptera – został spacyfikowany, uznał to za próbę generalną przed zastosowaniem przez władze rozwiązań siłowych.

Słuchacze rozwiązanej Szkoły zwartą kolumną, w mundurach przyszedli na Politechnikę.

– Działo się to za moją aprobatą, choć nie zgodą, bo nikt mnie o nią nie pytał – wspomina prof. **Findeisen**. – W pewnym momencie zostałem po prostu poinformowany, że mamy „gości”. Było ich 200 może 250. Zadzwoili się na trzecim piętrze Gmachu Głównego i dołączyli do strajku naszych studentów. Ponieważ rozwiązano im szkołę, przestali mieć status studentów i obawialiśmy się, że wszystkich wezmą do wojska. Wtedy pojawiły się naciski ze strony Regionu i uczelnianej organizacji związkowej, żeby natychmiast przyjąć ich na PW. To jednak było niemożliwe. Trwał semestr. 6 grudnia na PW odbyło się zebranie rektorów różnych uczelni polskich – wszyscy pochodzili z wyboru – na którym ustaliliśmy, że dla tych młodych ludzi trzeba urządzić kursy przygotowawcze na studia, które podjęliby 15 lutego. Jednocześnie, już w trakcie trwania kursów, otrzymaliby prawa

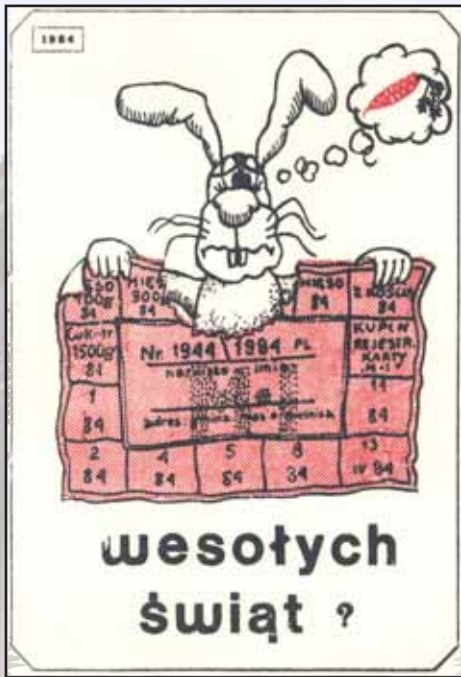


Jerzy Olędzki

studenckie. Oczywiście to był wybieg, ale jedyny możliwy w tamtej sytuacji. Politechnika od razu rozpoczęła przygotowania.

Dr **Zbigniew Wrzesiński** razem z mgr. **Tadeuszem Popończykiem** na Radzie Wydziału zaproponowali uchwałę o przyjęciu wszystkich studentów WOSP-u na wydział Mechaniczny Technologiczny. Uchwała została przegłosowana i weszła w życie. Prof. **Murza-Mucha** przygotował szczegółowy plan specjalności – sprzęt pożarniczy, a od chętnych zebrano podania i fotografie.

– My, rektorzy dostaliśmy od władz gwarancję bezpieczeństwa dla tych ludzi – kontynuuje opowieść prof. **Findeisen**. – Rozmawiałem przez telefon z generałem **Czesławem Kiszczakiem**, który – jak pamiętam – powiedział: „Nie będzie żadnych małych złośliwości i nikt nie będzie ich brał do wojska”. Mieliliśmy nadzieję, że podjęte przez nas działania zakończą strajk studentów na Politechnice. Tymczasem...





ARKA

•PIOSENKI ZE STAREJ KASETY•

J.K.KELUS 006

stereo mono cena 500 zł.

•wydano bez wiedzy autora•

WYSOCKI

WYSOCKI

22 arka

C-60 STEREO cena 700-

Solidarność

ARKA

S. BRATKOWSKI

005

stereo mono cena 800zł

•wydano bez wiedzy autora•

GAZETA DŹWIĘKOWA

1983

Stefan Bratkowski

1

ARKA

C-60 STEREO

Raport... 33

Bez wiedzy wytwórców
© by ARKA 800 zł
1988

Gintrowski

Raport z obłąkanego miasta

arka

ARKA

003

500 zł

WESOLEYCH ŚWIĄT

życzy Solidarność

ARKA

POZEGNANIE

018

C-60 cena kasety 650.-

Solidarność

POZEGNANIE

3-XI-1984

ARKA

j.kaczmarecki

MURY

007

stereo mono cena

•wydano bez wiedzy i zgody autora•

ARKA

KSS "KOR"

011

C-60 Cena kasety 450.-

Działalność KSS "KOR"

1 AUDYCJA OŚWIATY DLA NIEZALEŻNEJ DLA GRUP I KÓŁ SAMOKSZTAŁCENIOWYCH

© Copyright by Oświata Niezależna

LATA CHMURNE

W czasie stanu wojennego - lub jak się wtedy często mówiło – wojny polsko-jaruzelskiej „Solidarność” przeszła na inny poziom funkcjonowania. Wiele osób nie przyjęło do wiadomości faktu delegalizacji Związku i uważało, że powinien działać nadal – oczywiście tajnie.

Wprawdzie już wcześniej wiele oznak, zwłaszcza pacyfikacja strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej – którą prof. **Stefan Weyher** nazywał próbą generalną przed... – wskazywało na to, że władza dojrzewa do rozwiązań siłowych, ale...

Większość myślała: może nie teraz, może wcale, a może tylko stan wyjątkowy...

Tym bardziej że „Solidarność” w Polsce była masowym ruchem społecz-

czników. Ile było w owym czasie martwych dusz?

Internat

Na szczęście tylko dla kilku pracowników PW stan wojenny zaczął się tak, jak dla dr. **Krzysztofa Strachalskiego**.

– *Godzina 0:23. Dzwonek do drzwi. Chwila obrony, próba obrony... i zawieziono mnie na komendę na Żoliborzu przy ulicy Żeromskiego, a potem na Białąłękę.*

W komendzie kazano mi wyjąć wszystko z kieszeni; byłem tylko w szlafroku i w kapciach, więc wyjąłem z kieszeni chustkę... Później dano mi do podpisania tekst – formularz, powołujący się na ustawy, który brzmiał mniej więcej tak: „zostają internowani, ponieważ moje dalsze pozostawanie na wolności zagraża istnieniu państwa...”

Nie bardzo chciałem to podpisać, ale z drugiej strony bałem się, ponieważ wokół mnie stały draby z pałami. Podpisałem się słowem „supressus”, co po łacinie znaczy: pod presją, przygnieciony, przytłoczony. Słowo zaczynało się na „s”, tak samo jak moje nazwisko... nie zorientowali się.

Tę dość krótką relację uzupełnia szczegółami **Grażyna Maciejko** – jedna z wielu osób, które opiekowały się rodzinami internowanych, a dla nich samych szykowały paczki.

– *Jego żona była w 9 miesiącu ciąży, urodziła dzięki pomocy sąsiadów, bo w domu została sama z dwójką małych dzieci.*

Podobnie w nocy trafił do internatu – jak szybko zaczęto określać placówki odosobnienia – dr **Tadeusz Diem** z Wydziału Chemicznego.

Jak wiewiórki

Na wieść o stanie wojennym, sporo pracowników przyszło na Uczelnię, wprost do Komisji Zakładowej. Mgr **Andrzej Czaja** w przekonaniu, że zostanie

ogłoszony strajk okupacyjny przywędrował z plecakiem.

Zbigniew Lewandowski po przyjeździe przekonał się, że pracownia kserograficzna w Bibliotece Głównej została zamknięta. Niezbędne do uruchomienia kserografów części kazano wyjąć, zaplombować i schowano do kasy pancernej.

Nie działały miejskie telefony, ale centralka Uczelni nie została odłączona. Obdzwoniono więc Wydziały i zwołano zebranie. Przyszło tak wiele osób, że lokal KZ okazał się za mały. Przeniesiono się do jednej z auli.

Rozpoczęło się wielkie chowanie. Dokumenty „Solidarności” nie mogły wpaść w niepowołane ręce – to było oczywiste.

– *Byliśmy trochę jak wiewiórki, które zakopywały orzechy i czasem potem zapominały gdzie – wspomina dr **Hanna Rembertowicz**. – Część z tych orzechów została zakopana na trwałe. Tym bardziej że towarzyszyło temu duże tempo i nerwowość.*

Rzeczywiście w latach 90., podczas remontu Starej Kuchni, pod kominem, w piasku znaleziono ukryte wtedy dokumenty – m.in. listę członków założycieli NSZZ „Solidarność” w PW. Wprawdzie lekko, hm, „zniewiezione”, ale do dzisiaj znajdują się w siedzibie związku.

Grażyna Maciejko i inż. **Eżbieta Orkan-Łęcka** także były „wiewiórkami” i w gmachu Wydziału Chemicznego chowały „orzyszki”. Ta ostatnia wspomina:

– *Na początku cały mój pokój był zalany różnymi dokumentami, które stopniowo upychało się w rozmaitych miejscach. Niektóre rzeczy schowałam tak dokładnie, że zapomniałam gdzie.*

Pamięć odżyła kilka lat później – tuż po stanie wojennym – kiedy na wieść o remoncie gmachu wyjechała je i przekazała prof. **Weyherowi** – prywatnie sąsiadowi.

Studenci od zaraz

– *13 grudnia w Gmachu Głównym oprócz naszych studentów byli także goście z WOSP. Postanowiliśmy, że wydamy im legitymacje, choć było oczywiste, że o żadnych kursach w najbliższym czasie nie ma mowy – wspomina prof. **Władysław Findeisen**. – W moim sekretariacie prof. **Paweł Murza-Mucha** podpisywał i wydawał legitymacje. Po południu, grupkami – m.in. pod opieką oficerów Studium Wojskowego PW – zostali przeprowadzeni do Akademika na Placu Narutowicza. Pułkownik **Tadeusz Ryczkowski**, szef studium, osobiście ich nie*



Eżbieta Orkan-Łęcka

nym. Na listach członków założycieli na Uczelni było prawie 6 tysięcy osób, a wszystkich pracowników ok. 8 tys. W roku 1981 „Solidarność” liczyła – jak szacowano – 10 mln osób, podczas gdy PZPR, „wiodąca siła narodu”, 3 200 000. Ponadto, o czym wie niewiele osób, w partii był „prikaz”, aby ze statystyk nie wykreślać nieżyjących

eskortował, ale wiem, że zajmował się tym – wraz z innymi – jego zastępca, pułkownik **Podradziński**. Nie pamiętam jego imienia. To oznaczało, że Politechnika funkcjonowała jako całość i studium czuło się jej częścią.



Ewa Osiecka

Niestety, nie udało się zrealizować uchwały podjętej na Wydziale Mechanicznym Technologicznym, dotyczącej przyjęcia byłych słuchaczy WOSP na studia. Zabronił tego komisarz wojskowy, ale:

– W roku 1982 zorganizowaliśmy w kościele św. Anny specjalne kursy, na których mogli kontynuować naukę. Potem rozprowadziliśmy ich po wszystkich uczelniach w regionie. W tej sprawie nie daliśmy się pokonać i to był nasz sukces. Zgodnie z obietnicą, którą złożyliśmy tym ludziom, skończyli studia – wspomina dr **Zbigniew Wrzesiński**.

Brzydko się zabawiacie

Dr **Andrzej Rymsza** z IL, przewodniczący Komitetu Wydziałowego także pojawił się tego dnia, ale na Wydziale. W przekonaniu, że zostanie ogłoszony strajk, usiłował dostać się do Gmachu Głównego, ale nie został wpuszczony. Wspomina natomiast inną historię:

– Na początku roku akademickiego 1980/81 studenci NZS naszego Wydziału podarowali Komisji Wydziałowej krzyż. 13 grudnia pokój będący siedzibą związku został zaplombowany, a krzyż wraz z dokumentami „aresztowany”.

Dalej już opowieść dr. **Rymszy** jest hm, raczej lakoniczna:

– Trzeba je było odzyskać i... udało się.

Przyściśnięty nieco do muru mówi:

– Nie włamano się do tego pokoju, zrobiono to bardziej inteligentnym sposobem – cokolwiek to znaczy. A główna to zasługa prof. **Andrzeja Gomulińskiego** (ówczesnego prodziekana – przyp. red), który stanął na wysokości zadania... Zarówno krzyż, jak i dokumenty trafiły do mnie i przechowywałem je w domu. Po pewnym czasie krzyż przyniosłem na Wydział.

Po śmierci Papieża **Jana Pawła II**, w holu Wydziału – przy zaimprovizowanym ołtarzu ozdobionym tym właśnie krzyżem – codziennie odbywały się spotkania modlitewne pracowników i studentów. W dniu pogrzebu Ojca Świętego krzyż, za zgodą dziekana prof. **Grzegorza Jemielity**, został uroczyście umieszczony na ścianie naprzeciwko wejścia do budynku i jest tam do dziś.

Po tej krótkiej wycieczce w przyszłość wrócimy znów do 13 grudnia.

– Jeśli chodzi o systemy łączności, to żaden ze sposobów nie został wykorzystany. Zostaliśmy zupełnie zaskoczeni. Kiedy ogłoszono stan wojenny, komisarze położyli łapę na aparatach, które mieliśmy wykorzystywać do łączności, a wyłączenie telefonów uniemożliwiło kontaktowanie się z naszymi łącznikami – wspomina dr **Włodzimierz Tarwacki** z Wydziału Elektroniki.

Jednak nie do końca ma rację. Próby łączności były i to – poniekąd – udane.

Mgr inż. **Andrzej Gaca** z Mechatroniki – mówiąc o dniu ogłoszenia stanu wojennego – wspomina o tym, że pomimo działania telefonów wewnętrznych chciano zapewnić sobie także inny kontakt z Terenem Głównym. Do tego celu wykorzystano standardowe radiotelefony, które wcześniej „podrasowano” i zwiększono ich moc.

– Ja miałem jeden na siódmym piętrze gmachu, a drugi – dr **Witold Wierzejski** na Elektronice. Pamiętam, że jak robiliśmy próby łączności, w pewnym momencie włączył się nasłuch i usłyszeliśmy: „Oj, brzydko chłopcy się bawicie, brzydko”. Posługiwaliśmy się radiotelefonami niezbyt długo. Wiadomo było, że nie mo-

żemy rozmawiać otwartym tekstem tylko używając kodów, ale zrezygnowaliśmy.

Gest Kozakiewicza

Tadeusz Niedziałek, kierowca z bazy transportowej PW, także był obecny na zebraniu – znacznie owego dnia poszerzonej – Komisji Zakładowej. Kiedy właśnie zastanawiano się, czy podjąć strajk okupacyjny, podszedł do niego jakiś człowiek.

– Nie znałem go i nie dociekałem później, kim był. Zapytał, czy się boję? Każdy się bał. Czy jednak możemy coś zrobić? Wiedział, że jestem kierowcą „żuka”. Zaproponował, żebyśmy pojechali na Mokotowską, do Regionu, i zabrali stamtąd jakieś rzeczy. Rano aresztowano część ludzi stamtąd i ZOMO zabezpieczyło budynek od frontu, a on znał wejście od tyłu. Umówiliśmy się, że my pojedziemy, a koledzy będą czekali naprzeciwko stacji benzynowej przy bramie Politechniki od strony ul. Koszykowej. Jak tylko zobaczą nasz samochód, otworzą ją i wpuszczą nasz samochód.

Zatrzymałem się pod sklepem obuwniczym **Chelmka** w Alei Wyzwolenia. Tam miałem czekać na sygnał. Stałem twarzą



Karol Paderewski

w stronę placu na Rozdrożu, natomiast naprzeciwko mnie, przodem, w drugą stronę stał biały „fiat”, w którym siedziało dwu mężczyzn. Cały czas nerwowo się rozglądali. Czekałem około 40 minut, bo inni w tym czasie wynosili rzeczy z

Regionu i szykowali do załadunku. Miałem podjechać w ostatniej chwili. W pewnym momencie ulicą przejechał samochód i rozsypał ulotki. Nie zareagowałem, ale faceci z „fiata” wyskoczyli i zaczęli je zbierać. Jeden podszedł do mnie i mówi: „Masz, poczytaj”. Powiedziałem, że mnie takie rzeczy nie interesują, ale już wtedy nabrałem pewności, że to ubecy. Bo ktoś inny sprzątałby tak skwapliwie? Niedługo potem, w prześwicie bramy ukazał się człowiek, z którym tam przyjechałem. Pod budynek Regionu musiałem podjechać tyłem, ponieważ



Tadeusz Popończyk

jest tam parkan szkoły i bardzo wąski wjazd. Już czekało kilku młodych ludzi, którzy zaczęli pakować rzeczy na samochód. Pamiętam mnóstwo papieru w rykach, kserokopiarki i powielacze. „Żuk” został załadowany po dach, tak, że jeden z tych ludzi musiał na tym wszystkim leżeć, bo nie miał gdzie usiąść. Samochód był tak napakowany, że niemal szorował po jezdni resorami. Ten, z którym tam przyjechałem, siadł obok mnie w szoferce i... kiedy ruszaliśmy, nagle, gdzieś z boku podszedł do nas jakiś człowiek w mundurze, chyba wojskowym. Chciał nas zatrzymać i uderzył czymś w szybę. Stłukł ją. Mimo to wyjechałem na ulicę. Kiedy dojeżdżałem do Placu Zbawiciela widziałem „skoty”, które jechały pod Region. Zauważyli mnie wtedy faceci z białego fiata i ruszyli za mną. Jechałem środkiem jezdni, nie

dając się wyprzedzić. Rozpędziłem się – na tyle, na ile z tym ładunkiem mogłem – i ostro wjechałem w Koszykową. Ponieważ koledzy przy bramie mnie zauważyli i już ją otworzyli – nie dając kierunkowskazu i hamując w ostatniej chwili – gwałtownie skręciłem. Jadący za mną kierowca, ratując się przed uderzeniem w mój samochód, uciekł na prawo i wylądował na stacji benzynowej. Po chwili z „fiata” wysiadło dwóch ludzi i podbiegło do bramy każąc otwierać, ale... zobaczyli tylko gest **Kozakiewicza**. Ja tymczasem wjechałem na jeden z dziedzińców Gmachu Głównego. Wiedziałem już, że „leżę”. Samochód nie miał szyby, znali mój numer rejestracyjny... Powiedziałem kolegom, że mam dosyć, że nie będę rozładowywał i nie chce wiedzieć, gdzie to ukryją, tym bardziej że w poniedziałek na pewno mnie aresztują. Rozpakowaniem samochodu zajęli się **Zbyszek Redlich, Janusz Surowiec i Heniek Stelmasik**.

Niespokojna noc

Trudno byłoby dzisiaj ustalić, gdzie były pochowane różne rzeczy, chociaż...

– Dwa duże kserografy zabrałem do dziekanatu. Pamiętam, że jak następnego dnia przyszły panie, jego pracowniczki, to trochę zdziwiły się tym nabytkiem, ale nie zareagowały, jakby nic specjalnego się nie działo. Kserografy udało się nam uratować dzięki ich dyskrecji – wspomina prof. **Krzysztof Schmidt Szalowski**, ówczesny dziekan Wydziału Chemicznego..

A **Tadeusz Niedziałek**? Na wszelki wypadek nocował u sąsiadki, a następnego dnia rano – z duszą na ramieniu – nie zatrzymany przez nikogo, pojechał samochodem do bazy. Dyspozytorem był wówczas **Edmund Smoczyński**.

– Chyba jako jedyny w bazie nie należał do „Solidarności”, ale właśnie jego poprosiłem o pomoc. To był bardzo przyzwyczajony człowiek. Powiedziałem krótko, co i jak. Zniszczył moje karty drogowe od środy, wezwał kierownika warsztatów i... już po chwili samochód stał na kołkach. Natychmiast odbyło się zebranie naszego Koła, na którym opowiedziałem o tym, co się działo w KZ i nie wdając się w szczegóły stwierdziłem, że boję się nocować w domu. Po zebraniu podszedł do mnie **Wojtek Wąszewski** i zaproponował, że mogę z żoną zamieszkać u niego. Potem taką samą propozycję złożyli mi **Janusz Przeorski i Wojtek Kotlarski**. Mało tego, koledzy uchwalili, że mo-

gę nie przychodzić do bazy, a pensję – według średniej bazowej – będę dostawał od nich, ze składek. To mnie bardzo podbudowało i byłem szczęśliwy, że ludzie są aż tak silnie związani ideą solidarności i chęci pomocy.

Kiedy następnego dnia, około godziny 11, do bazy przyjechała milicja, mój samochód stał w warsztacie, miał zdjęte koła, wyjęty silnik i wstawioną brudną szybę ze starymi uszczelkami. Zgodnie z dokumentami w warsztacie znajdował się od środy.

Po kolejnej dygresji wróćmy znowu do Gmachu Głównego, który do wieczora był opróżniony. Jak wspomina prof. **Findeisen**, na noc zostały tylko dwie osoby.

Jerzy Kapuściński – I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR – sam się zafiarował oraz **Marek Więzowski** – dość wojowniczy członek NZS, student II, który nie chciał wracać do domu. Podobno rozmawiali do samego rana.

Ta noc była zapewne nieprzespana dla wielu osób, ale dla prof. **Jerzego Woźnickiego** ze szczególnych powodów. Kiedy pojawił się tego dnia na Uczelni – nomen omen – o trzynastej...

– **Andrzej Urbanik**, ówczesny członek prezydium KZ, w imieniu profesora zwrócił się do mnie z propozycją, abym podjął się utworzenia struktury niejawniej NSZZ „Solidarność” w PW i kierował jej działaniem.

Dzień po

Prof. **Findeisen** nieoficjalnie dowiedział się, że „Solidarność” zamierza ogłosić strajk okupacyjny.

– Nie wiem, czy z powodu wysiłku, jaki poprzedniego dnia włożono w opróżnienie budynku, czy też na zasadzie chłodnej kalkulacji – może zdecydowały oba te powody – podjąłem decyzję, że od południa gmach ma zostać zamknięty dla wszystkich – i pracowników, i studentów. Uważam, że to była słuszna decyzja. Tego typu strajk podjęty na SGGW, został spacyfikowany siłą. Z drugiej strony – takie postawienie sprawy oznaczało pewne starcie z „Solidarnością”. Chciałem jednak uniknąć rozwiązania siłowego, do jakiego najprawdopodobniej by doszło. Zresztą pamiętam, że kilka dni później jeden z kolegów z mojego Wydziału podziękował mi za tę decyzję. Był wyznaczony do uczestnictwa w strajku.

Dr **Janusz Sobieszkański** z SiMR-u – spoglądając na te wydarzenia z perspektywy czasu – przyznaje, że to chyba była słuszna decyzja. Uczelnia mogła być później narażona na represje. Jed-

nak pamięta, że wtedy, na odbywającym się przed południem zebraniu pracowników Wydziału, był za podjęciem strajku.

– Gdy zabrałem głos, stwierdziłem, że nie mamy się nad czym zastanawiać. Wskazaliśmy to jasno w referendum.

Przed stanem wojennym wśród członków „Solidarności” na Wydziale przeprowadzono referendum: co robić, gdyby został ogłoszony stan wyjątkowy? Większość opowiedziała się za strajkiem.

– Po moim wystąpieniu jeden z profesorów wstał i powiedział: „Taką decyzję podjęliśmy w przypadku, gdy będzie stan wyjątkowy, a to nie jest stan wyjątkowy – to jest stan wojenny”. Ostatecznie nie zostały podjęte żadne decyzje – choć część osób przyjechała na Wydział z torbami i kocami – ustalono jedynie, że każdy będzie postępował zgodnie z własnym sumieniem.

Do nieprzyjemnego incydentu doszło rano na Wydziale Inżynierii Lądowej.

– W holu było niewiele osób, kilku pracowników i studentów – wspomina dr **Bogusław Obiegalka**. – Nasz kolega, dr **Tadeusz Zieliński**, trzymał w ręku plik wydruków dotyczących badań drogo-

Wydziału. Wyrwał **Tadeuszowi** kartki i zniszczył na oczach obecnych. Odebrałem to zdarzenie jako prowokację. Teraz myślę, że sądził on, iż **Tadeusz** chce zorganizować strajk i ma listy uczestników. Uznałem jednak, że nie możemy dać się sprowokować i powinniśmy zachować spokój, a o całym zdarzeniu poinformować dziekana.

Pierwsze dni stanu wojennego niektórzy wspominają jak bycie na... kacu. Okres pełen zapału, entuzjazmu, pracy i wiary w to, że wreszcie coś można zrobić, zmienić... nagle brutalnie został przerwany.

Zawieszono zajęcia na Uczelni.

– Politechnika bez studentów wyglądała okropnie. Puste korytarze, głucha cisza. Wprawdzie pracownicy byli wpuszczeni, ale mieli problemy, żeby przedostać się z gmachu do gmachu – wspomina dr **Rembertowicz**.

Jednak przede wszystkim wielu ludzi dręczyły pytania: – Co będzie dalej? Co robić?

„Biblia” Agatona

Wróćmy teraz do prof. **Woźnickiego**.

– Zaczęłem od tego, że razem ze składem osobowym Uczelni siedliśmy nad mapką budynków. Moi rodzice byli oficerami Armii Krajowej. Zrozumiałe jest więc to, że projektowanie struktury rozpocząłem od przestudiowania kilku książek dotyczących konspiracji AK-owskiej. Monografię pt. „Z fałszywym aussweisem w prawdziwej Warszawie” **Stanisława Jan-kowskiego „Agatona”** przeczytałem kilka razy. Na jej podstawie opracowałem schemat działania. Po kilku dniach, kiedy znowu spotkaliśmy się z **Andrzejem Urbanikiem**, miałem już gotowy obraz i plan działania nowej organizacji. Na początku nazywaliśmy ją II strukturą, potem po prostu „dwójką”.

Na jej czele stanął **Jerzy Woźnicki** ps. „**Roman**”. Miał dwóch zastępców: prof. **Andrzeja Gomulińskiego** ps. „**Olgierd**” od spraw merytorycznych i **Marka Ślusarza** ps. „**Franek**” do spraw technicznych.

– Prof. **Andrzej Gomuliński** był docentem na IL, a **Marek Ślusarz** pracow-

niem technicznym na Wydziale Chemicznym, tzw. złota rączka. Z każdym widywałem się oddzielnie, najczęściej w ich mieszkaniach.

– Pierwsze nasze spotkanie odbyło się chyba miesiąc po ogłoszeniu stanu

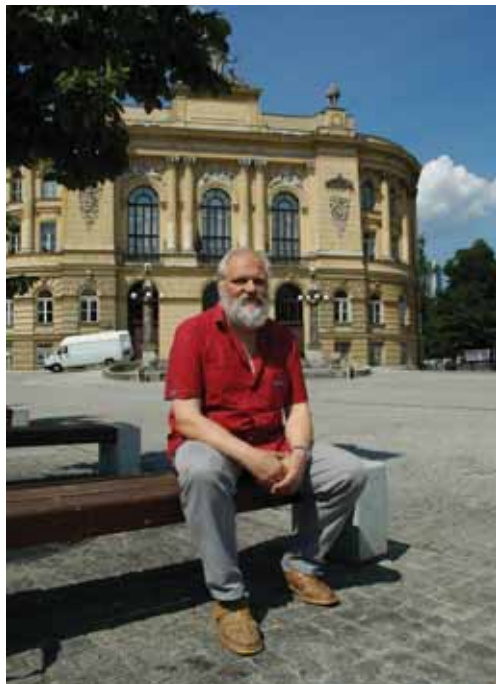


wojennego – wspomina „**Olgierd**”. – Przyszedł do mnie dr **Bogdan Rymsza** – bardzo aktywny działacz „Solidarności” – i zaproponował udział w podziemnej strukturze. Potem dostałem wiadomość o miejscu i dacie spotkania. Odbyło się ono w mieszkaniu **Jurka Woźnickiego**. Zaskoczył mnie, kiedy przedstawił precyzyjny plan organizacyjny podziemnej struktury. Oprócz nas było jeszcze kilka osób. Pamiętam **Marka Ślusarza**, z którym potem współpracowałem. To był taki chłopak z iskrą i smykałką do rzeczy technicznych. Był tam także znajomy **Jurka** z elektroniki, **Wojciech Mały** i jeszcze jacyś koledzy, ale dziś już dokładnie nie pamiętam kto.

– Dla mnie natomiast – mówi **Marek Ślusarz** – działalność konspiracyjna zaczęła się od wskazania mnie przez **Grażynę Maciejko** jako osoby, która może coś tam zrobić... Później skontaktowała mnie z **Henrykiem Supronowiczem**. 19 lutego w mieszkaniu **Jurka Woźnickiego** odbyło się spotkanie inicjujące działalność „dwójki”.

Organizacja nawiązywała kontakty z innymi strukturami „Solidarności”, również działającymi w konspiracji. Było to szczególnie istotne dla przepływu informacji pomiędzy poszczególnymi środowiskami, umożliwiało także wykorzystanie potencjału intelektualnego i technicznego pracowników PW dla różnego rodzaju przedsięwzięć konspiracyjnych.

Nawiązano kontakty m.in. z Międzyzakładowym Robotniczym Komitetem Straj-



Andrzej Potyński

wych. Był wówczas asystentem i akurat wykonywał jakąś pracę badawczą. Kiedy pokazywał komuś te papiery, wszedł **Wiesław Kietliński**, który piastował wtedy eksponowane stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Nauki KC PZPR i jednocześnie był pracownikiem naszego

kowym, którego liderem ideowym był **Zbigniew Romaszewski**.

– Oni działali podobnie jak my, na Uczelni. Na samej górze było kilku szefów podziemnej struktury wielkich zakładów pracy w Warszawie. Pamiętam, że miałem spotkanie z jednym z nich, robot-

ścielny. Był jeszcze ktoś z Inżynierii Łądowej, no i oczywiście **Zygmunt Trzaska Durski** ps. „Piotr”, który wnosił wielki wkład w działania naszej grupy – wspomina „Roman”.

Członkowie „piątki” sami organizowali ludzi z podległych im Wydziałach lub dostawali do nich kontakt z I struktury. Wspomniany wyżej „Piotr” tak zapamiętał swoje przystąpienie do konspiracji:

– W styczniu lub lutym '82 przyszedł do mnie dr **Jacek Terpiński**, przewodniczący naszego wydziałowego koła, i powiedział: „Słuchaj, na Uczelni, poza TKU, tworzy się kolejna struktura

oknie stoi kwiatek. W środku, oprócz gospodarza, zastałem jeszcze cztery osoby. Pamiętam tylko pseudonimy: „Adam”, „Karol”, „Jan”. Ja przedstawiłem się jako „Piotr”. W swoim pionie miałem trzy wydziały: Chemiczny, Transport i FTiMS. Stamtąd otrzymałem kontakty do konkretnych ludzi.

„Roman” powiedział, że został wyznaczony do utworzenia drugiej struktury i wyjaśnił na czym – mniej więcej – będą polegać nasze zadania. Pamiętam, że pokazując zebranym książkę **Stanisława Jankowskiego „Agatona”**, oświadczył, że to jest biblia konspiratora. Właśnie na niej opierał się tworząc „dwójkę”.

W obrębie mojego Wydziału nie miałem problemów z kontaktami. Na FTiMS-ie również bywałem osobiście – chemia i fizyka to pokrewne dziedziny. Natomiast w przypadku Transportu wykorzystywałem moją żonę **Hannę**, która pracowała ze mną w jednym zakładzie. Miała tam koleżankę i chodziła „na pogaduszki”, a przy okazji przekazywała informacje.

„Wpadka” z kwiatkiem

Łącznikiem pomiędzy „dwójką” a „jedynką” czyli TKU – konspiracyjnie nazywaną „Diana” – był obecny profesor **Henryk Supronowicz** z Wydziału Elektrycz-

wykonawcza. Postanowiono, że wejdą do niej ludzie z drugiego lub nawet trzeciego szeregu. Padło pytanie: „Czy zgodziłbyś się...” Ostrzegł mnie jednak, że bym się zastanowił, bo to może być niebezpieczne. Powiedziałem, że nie muszę się namyślać. Wyrażam zgodę. Po kilku dniach dostałem karteczkę z krótką instrukcją. Określonego dnia, o godzinie... mam być na placu przed PW, przy przystanku tramwajowym w stronę Alei. Podjedzie fiat o numerze... mam wsiąść. Po przeczytaniu notatkę miałem zniszczyć.

P o s e d ł e m .

Wsiadłem. Samochód prowadził ówczesny dr **Jerzy Woźnicki**, którego wcześniej nie znałem. Nasza rozmowa była wzajemnym przedstawianiem się i opowiadaniem o sobie. Po kilku dniach otrzymałem wiadomość o kolejnym spotkaniu. Odkryło się w mieszkaniu **Jurka**. Dostałem adres oraz konkretne instrukcje. Przed wejściem do mieszkania, po pierwsze miałem sprawdzić, czy jego samochód ma założoną blokadę na kierownicę, a po drugie, czy we wskazanym

nego, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej. W stanie wojennym, określana jako Tymczasowa (niektórzy mówią Tajna), Komisja Uczelniana działała nadal, tylko że spotkania odbywały się w mieszkaniach prywatnych.

– Kiedy powstała druga struktura, musieliśmy uzgadniać różne sprawy, odbierać i przekazywać środki finansowe. Było też sporo innych problemów związanych z wydawnictwami, kolportażem. Ze strony TKU, wraz z **Andrzejem Urbanikiem**,



Hanna Rembertowicz

nikiem, nie wiem nawet skąd, chyba z Huty Warszawa. Omawialiśmy możliwości pomocy technicznej dla MRKS i ewentualnej produkcji środków zasmradzających. Miały być użyte w teatrach, których aktorzy nie przystąpili do bojkotu – wspomina prof. **Woźnicki**. – Rozmawialiśmy też kiedyś o akcji „wykradzenia” **Jana Narożniaka**. To był drukarz solidarnościowy, który po wprowadzeniu stanu wojennego został zatrzymany, a potem przebywał w szpitalu na Banacha. Umówiliśmy się, że jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy gotowi, żeby im pomóc. Wykradli go jednak sami. Nasze kontakty nie były zbyt częste. Może i dobrze, bo w pewnym momencie wszystkich z MRKS aresztowano.

Piątka w „dwójce”

Politechnika została podzielona na pięć pionów. Każdy miał szefa i obejmował kilka Wydziałów.

Z „piątką” systematycznie spotykał się „Roman”. Wszyscy posługiwali się pseudonimami – były to męskie imiona.

– Nie pamiętam każdego. Wiem, że z **Elektroniki** na początku był dr **Wojciech Mały**, który przed upływem roku wyjechał do Stanów. Na jego miejsce przyszedł chyba mgr inż. **Zbigniew Redlich**. Z **Południa** był dr **Jerzy Pawłowski**, który z kolei wyjechał do Finlandii. Zastąpił go, o ile dobrze pamiętam, dr **Andrzej Ko-**



byliśmy łącznikami z „dwójką” – wspomina prof. **Supronowicz**.

Kontaktowali się z **Andrzejem Gomułińskim** i **Jerzym Woźnickim**.

– *Nigdy osobiście* – wspomina **Jerzy Woźnicki** – *zawsze przez łączników, którzy karteczki z informacjami nosili w grzbietach książek. Podręczniki o tematyce naukowej nie wzbudzały podejrzeń. Warunek był tylko jeden: książki musiały być szyte, a nie klejone. Dzięki temu umieszczenie karteczki w grzbiecie nie stanowiło problemu. Pisaliśmy jawnie, ale posługiwaliśmy się – zrozumieliśmy tylko dla nas – skrótami. Podpis stanowiła pierwsza litera pseudonimu.*

„Dwójka” była zakonspirowana i oddzielona od I struktury, której członkowie działali quasi-legalnie, na tyle na ile mogli, ściągając na siebie uwagę esbeków dozoruujących na Uczelni. Jednocześnie, w pewnym sensie, autoryzowali działania tajnej struktury.

W praktyce II struktura ruszyła 19 lutego 1982 roku, a rok później – 19 lutego 1983 roku – wykonano ulotki upamiętniające pierwszą rocznicę powstania podziemnej struktury „Solidarności” na PW.

O tym, jak dalece była utajniona, świadczy fakt, że nigdy nie doszło do żadnej wpadki.

Uczestnicy konspiracyjnych spotkań byli zawiadamiani przez łączników. Dostawali karteczki z informacją dotyczącą godziny i miejsca. Treści należało nauczyć się na pamięć, a notatkę zniszczyć. W czasie pierwszych spotkań stosowano następującą zasadę: w określonym wcześniej oknie pojawiał się kwiatek jako znak, że droga jest wolna. Natomiast, jeśli go nie było...

– *Na początku stanu wojennego ściśle przestrzegaliśmy zasad konspiracji. Z czasem – coraz mniej. Nie mieliśmy poczucia, że jesteśmy na pierwszej linii frontu i że ktoś nas śledzi. Pamiętam, że kiedyś zapomniałem o wystawieniu kwiatka w oknie. Spotkanie odbyło się, ale w niepełnym składzie. Jeden z kolegów krążył wokół domu i nie zdecydował się wejść* – wspomina prof. **Jerzy Woźnicki**.

„Dwójka” się rozrasta

W „dwójce” – poza „piątkami” – powstały także inne komórki konspiracyjne. Jedną z nich, mającą zajmować się m.in. bieżącą dokumentacją fotograficzną demonstracji oraz wydarzeń w mieście, stworzył **Marek Ślusarz**. Mieściła się w

mieszkaniu **Lecha Krzcińskiego**, który był wprawdzie spoza Politechniki, ale mieszkał bardzo blisko. Działanie laboratorium – choć jego twórca uważa, że to zbyt szumna nazwa – rozpoczęło się od gromadzenia sprzętu.

– *Kupiliśmy aparat fotograficzny i kilka dużych suszarek. Z zakładów Politechniki ściągaliśmy stół reprodukcyjny. Ludzie przynosili – jak się wtedy mówiło: organizowali – inne elementy wyposażenia. M.in. do reprodukcji makrofotografii, oświetlenia oraz różnego rodzaju przystawki do aparatu. Wszystkie odczynniki do wywoływania zdjęć robiłem sam.*

Po pewnym czasie laboratorium zaczęło służyć do innych celów: robienia klisz do sitodruku, okładek do kaset, ulotek, kartek świątecznych oraz kalendarzy. W maju ‘82 wykonano dużą partię zdjęć osób internowanych – m.in.

Andrzeja Urbanika. Potem fotografie w formie ulotek były kolportowane na terenie PW. Komórka ta, założona w celach dokumentacji, w początkowym okresie stała się integralną częścią Wydawnictwa ARKA, które de facto zainicjowało swoją działalność już w pierwszym roku stanu wojennego. Znakiem był wtedy „zajaczek” lub – jak mówią niektórzy – „króliczek”. Oficjalnie, z nazwą „ARKA” w logo, wydawnictwo zaczęło działać rok później.

Za sprawą wspomnianego już **Wojciecha Małego**, do siatki konspiracyjnej został włączony dr **Piotr Szwemin** z Elektroniki.

– *Umówił mnie z „Rafałem”. Spotkanie odbyło się w mieszkaniu na mieście. Jak się okazało „Rafał” był moim kolegą, którego dobrze znałem. Powierzył mi poprowadzenie Sekcji Służb i otrzymałem pseudonim „Sławek”. Na dwóch lub trzech spotkaniach omawialiśmy zadania oraz metodę ich realizacji, kandydatury na szefów zespołów, a także sposoby wzajemnej identyfikacji i komunikowania się wewnątrz struktury. Poznałem też swojego przełożonego w II strukturze – „Franka”. Potem kontakt z „Rafałem” urwał się. Miał istnieć tylko w fazie orga-*

nizacyjnej, bowiem takie było założenie. Dziś wiem, że „Rafał” – dla nas kreator II struktury – był jednocześnie „Romanem” – jej szefem.

Sekcja miała zapewnić szeroko rozumianą komunikację i obsługę całej niejawnej organizacji „Solidarności”. To było coś, co mogło przypominać pluton łączności pułku – w stanie wojennym związek na PW liczył ponad 2000 członków. Ze względów bezpieczeństwa niektóre obszary wykluczono z działalności służb, np. zbieranie składek i przechowywanie środków finansowych odbywało się poza księgowością, natomiast sama księgowość była obsługiwana przez Sekcję.



Bogdan Rymsza

Sekcja Służb składała się z kilku zespołów, których nazwy stanowiły imiona żeńskie, zaczynające się od pierwszej litery wypełnianych czynności. Szefowie grup jako pseudonimy mieli imiona męskie, rozpoczynające się od takiej samej litery, jak imię zespołu – wszystko po to, aby łatwiej można było zapamiętać. Zespoły organizowali ich szefowie. Szybko powstała pionowo rozbudowana struktura. Szczegółów – nazwisk i zadań około 30 tworzących ją osób – jak przyznaje „Sławek”, do dziś całkowicie nie zna.

„Im mniej się wie, tym lepiej” – mówili stare, wypróbowane zasady konspiracji. W Sekcji były m.in. dwa zespoły zajmujące się kolportażem. Działały oddzielnie, bez żadnych powiązań osobowych.

– *Kontaktowały się wyłącznie przez tzw. dziuple. Były to skrytki znajdujące się zwykle w takich miejscach, gdzie ruch różnych ludzi nie budził podejrzeń. Regułą było nie przetrzymywanie przy sobie nielegalnych materiałów, dlatego takie schowki organizowali sobie prawie wszy-*

scy członkowie Sekcji. Ich lokalizacja i budowa były kwestią indywidualnej pomysowości – np. miejsce pod szafą, w której po usunięciu dwu gwoździ można było wysunąć deskę cokołu.



Krzysztof Schmidt-Szałowski

Szefem kolportażu zewnętrznego był mgr inż. **Bohdan Rawicz**, a po jego odejściu z Politechniki, mgr inż. **Janusz Górecki** – obaj z Elektroniki. W okresie rozkwitu „drugiego obiegu” jeden transport wypełniał co najmniej pół malucha. W całej naszej działalności najbardziej niebezpieczne były kontakty zewnętrzne, ponieważ zależały od stosowania „zasad BHP” nie tylko w obrębie Sekcji, ale również przez ośrodki zewnętrzne. Zdarzało mi się nawiązywać pierwszy kontakt, jeszcze „pusty”, na miejscu i rezygnować z dalszej współpracy z powodu zbyt daleko idącej bez troski nowych kolegów. Tak było np. z bardzo sympatycznym chłopakiem z jednej z warszawskich grup wydawniczych. Uznałem, że można go było zbyt łatwo namierzyć. Należy pamiętać, że wiele punktów w mieście było stale obserwowanych przez całe grupy funkcjonariuszy – na szczęście dość łatwych do identyfikacji. Zwykle nosili wąsy „a la Wałęsa”, tylko oczy mieli zimne i dziwnie rozbiegane – wyjaśnia dr **Szwemin**.

Szefem kolportażu wewnętrznego, czyli „Kasi” był „Kazik” – prof. **Andrzej Pfitzner**. Podlegała mu także „Maria” – zespół maszynistek, który:

– Powstał i działał w czasach, gdy jednonostronicowe wiadomości i komentarze

były pisane na maszynach na papierach przebitkowych. Tą techniką powielono pierwszą wersję „Małego konspiratora” – zbioru zasad bezpiecznego działania. „Kazik” opiekował się też archiwum wydawnictw podziemnych. Kiedy w marcu 1992 roku przekazywaliśmy je legalnej już Komisji Zakładowej, było to 13 pak – każda wielkości średniej walizki. Zawierały książki, czasopisma, kasety – wszystko, co przychodziło i pojawiało się na Politechnice w drugim obiegu. No, prawie wszystko – przyznaje dr **Szwemin**.

Przyzwoitka i zadania specjalne

W Sekcji Służb był także zespół łączności – „Łucja”, który prowadził dr **Andrzej Kościelny** ps. „Łukasz”.

– Jego rola była szczególnie istotna w pierwszym okresie stanu wojennego. Komórka ta, o ile mi wiadomo, zapewniała kontakty kierownictwu II struktury. Łącznikiem pomiędzy „dwójką” a TKU, czyli „Dianą”, był – także nieżyjący już – **Zbyszczek Redlich**. Przez teoretycznie zamknięte i zastawione szafą drzwi, prowadzące do drugiej części budynku Elektrotechniki, miał kontakt z **Henrykiem Supronowiczem** – wspomina dr **Szwemin** i dodaje: – Kilka osób bez przydziału wykonywało zadania specjalne. Na przykład obserwowały w mieście miejsca, gdzie miało nastąpić przejęcie lub przekazanie jakiś materiałów albo jechały przed samochodem wiozącym coś trefnego i w przypadku kontroli miały za zadanie skupić na sobie uwagę milicji. Te pozornie skromne działania zwiększały bezpieczeństwo. Nie było to takie bezsensowne, bo zdarzały się przypadki niezależnego, jednoczesnego planowania wydarzeń w tym samym miejscu. Tak było np. w Al. Jerozolimskich, gdzie na murku kwiatowym duży plecak wraz zawartością miał zmienić właściciela, a murek akurat obsiedli agenci SB. Zapewne mieli zamiar na budynek, bo z dachu wkrótce pofrunęły ulotki MRKS-u. Dla zewnętrznego obserwatora było to zabawne zdarzenie, gdy esbecy rzucili się do klatek. Chłopków z MRKS-u dawno już tam nie było, ponieważ zadziałała prosta, automatyczna katapulta. Miejsce, nieświadomie przez nas wybrane, nie było jednak najszczęśliwsze.

O osobach do zadań specjalnych wspomina także **Tadeusz Niedziałek**, który miewał takich opiekunów. Bibułę, nie tylko wydawnictwa politechniczne, woził służbowym „żukiem”. Drukarnia znajdowała się pod Warszawą.

– Przez pewien czas jeździł ze mną czerwony „fiat”. Gdyby chcieli nas zatrzymać, jego zadaniem było spowodowanie na jezdni takiej sytuacji, żeby zajęli się nim, a nie mną. On oczywiście był czysty, natomiast ja z reguły miałem materiałów po dach – wspomina.

Oprócz tego w Sekcji był zespół finansowy, przez który przechodziła cała księgowość drugiej struktury. Szefem był dr **Karol Paderewski** ps. „Filip”.

– To **Jerzy Woźnicki** powiedział, że ktoś się do mnie zgłosi. I rzeczywiście, przyszedł człowiek z Wydziału Elektrycznego. Nie pamiętam, jak się nazywał, wiem tylko, że już nie pracuje na PW. Razem szyfrowaliśmy wszystkie sumy. Pieniędzy nigdy nie widziałem. Został opracowany taki klucz – zresztą głównie przez tego człowieka – w którym były i liczby, i litery, według określonego wzoru. Spotykaliśmy się co miesiąc, potem chyba co kwartał, i szyfrowaliśmy. Byłem przy tym obecny, chyba bardziej jako przyzwoitka, ponieważ należałem do komisji rewizyjnej. Nie wiedziałem natomiast ani kto zbierał pieniądze, ani kto potem nimi dysponował, ani na co były przeznaczane.

Cała struktura finansowa jest dziś trudna do odtworzenia. Poszczególne Wydziały miały swoich skarbników. Na II funkcje tą pełniła prof. **Ewa Osiecka**. Zbierała pieniądze, robiła zestawienia wpływów i wydatków, ale komu je przekazywała w czasie stanu wojennego – nie pamięta. Jeszcze do dziś przechowuje kartkę z bilansem za rok 1982, który wykazuje, że opłaty wpłynęły z Wydziału Architektury i z 4 instytutów Wydziału Inżynierii Ładowej, razem 138 840 zł.

– Okresowo zbierałam też składki od osób spoza Politechniki, np. od rodziny. Nie byli w związku, ale chcieli jakoś wspomagać jego działalność. Na co wydawano pieniądze? – zerka do rozliczenia – Świadczenia na rzecz TKU, zasiłki losowe, pomoc represjonowanym i ich rodzinom, domy dziecka, prasa – to spora pozycja.

Marek Ślusarz wspomina, że zajmował się m.in. zestawieniami finansowymi pieniędzy, które służyły z Wydziałów. Robił je na malutkich karteczkach z przebitki. Dzisiaj – jak mówi – trzeba by łupy, aby je odczytać. Potem były przekazywane do jakiegoś księgowego. Kogo? Był nim, zarówno w okresie legalnym, jak i później, z przerwą na „internat”, dr **Kornel Wydro**, o którym dr **Andrzej Szuster** mówi:

– *Niesłychanie skrupulatny i sumienny. Wszystkim instytucjom życzę, żeby miały takiego księgowego.*

Część pieniędzy zbieranych na Uczelni była przekazywana do Regionu przez mgr. inż. **Piotra Szczepańskiego** z Inżynierii Sanitarnej i Wodnej. Był łącznikiem pomiędzy Komisją Zakładową PW a Regionem – zarówno w czasach legalnej działalności, jak i potem.

Pokwitowania były drukowane w „Kurierze Mazowsze” pod odpowiednimi hasłami – suma i litery określające komisje zakładowe. Natomiast o zagospodarowaniu pozostałych pieniędzy decydowała TKU. Przeznaczone były na druk wydawnictw, ulotek i inne rzeczy...

Bolek i Lolek

– *Wraz z **Witkiem Wierzejskim** postanowiliśmy działać – mówi dr **Tarwacki**. – **Piotr Szczepański** skontaktował mnie ze **Staszkiem Rusinkiem** – najwyżej postawioną osobą na Mazowszu, która nie została aresztowana. Podeszliśmy do tego trochę nieufnie, nie zdradzając od razu*



Andrzej Smirnow

*naszych pomysłów. Jednak kiedy **Rusinek** zorganizował spotkanie na Saskiej Kępie, w mieszkaniu, w którym ukrywał się **Zbigniew Bujak**, przedstawiłem nasze plany. Powiedziałem, że chcemy „wrzucić” na obraz telewizyjny napisy „Solidarność” lub inne hasła, produkować odbiorniki radiowe dla internowanych, urzędników wykrywające pluskwy. To*

*spotkanie uwiarygodniło **Rusinka** i od tej pory widywaliśmy się co tydzień w mieszkaniu konspiracyjnym u **Marcina Zawadzkiego**.*

Na pierwszy ogień poszedł nadajnik. Zaczęło się od szukania właściwych tranzystorów, a potem:

– *W opracowaniu potrzebnej nam części cyfrowej wziął udział dr **Andrzej Skorupski** z naszego Instytutu Informatyki, a jej konstrukcję dopracował mgr inż. **Wojtek Zaworski**. (...) Łączność z podziemnym kierownictwem Regionu miał na głowie **Włodek Tarwacki**. On też z pomocą **Wojtka** opracował konstrukcyjnie i następnie wykonał zasilacze do nadajnika – pisze **Witold Wierzejski** we „Wspominkach z konspiracy” (Kwartalnik OZ NSZZ „Solidarność” w PW nr7/1 z 2004 r.).*

Zaprogramowaniem kostki pamięci EPROM z tekstem: „SOLIDARNOŚĆ ŻYJE”, zajął się dr **Marek Czosnyka**. Początkowo urządzenie miało nazywać się „Big-Beat”, ale potem ochrzczono je „Bolek i Lolek”.

Pierwsze próby emisji dokonywane z domu dr. **Wierzejskiego** nie przyniosły zamierzonego efektu. Potem już były przeprowadzane z innych miejsc.

– *Urządzenie składało się z trzech pudełek i składanej anteny telewizyjnej. Zasilacz miał dla zmyłki napis: „W razie ładowania akumulatorów włączyć opornik”.*

Tu dygresja. Ten napis uratował konstruktora, kiedy w jego domu odbywała się rewizja. Rewidujący uznali, że jest to element prostownika do akumulatora samochodowego, dlatego nie wzbudził ich zainteresowania. Niewiele brakowało, by wpadł także dr **Tarwacki**, który wspomina jak wracał z całym sprzętem do domu po pierwszych próbach w Marysinie:

– *Wprawdzie byłem zameldowany w Warszawie, ale mieszkalem u teściów w Michalinie. Jechałem samochodem i nagle w Wawrze zatrzymał mnie milicjant. Spisał i... już miał zajrzeć do środka. Na szczęście nadjechał następny samochód, który także został zatrzymany. Korzystając z okazji – odjechałem.*

Prób było kilka, z różnymi efektami. Dr **Tarwacki** narzekał na obserwatorów:

– *Jeśli napis pojawiał się na kilka sekund, to potrafili przegapić ten moment. Najwięcej osób widziało go, gdy był wyświetlany w czasie meczu albo serialu „Isaura”. Natomiast w trakcie Dziennika znacznie mniej. Powszechna była wówczas akcja bojkotowania „wieczornych wiadomości” i podczas ich nadawania ludzie wychodzili na ulicę. Zaobserwowaliśmy też, że jeśli napis ustawiamy na środku ekranu, to jest widoczny tylko na odbiornikach znajdujących się za naszym nadajnikiem w stosunku do tego, który był zamontowany na Pałacu Kultu-*



Janusz Sobieszczański

ry. Natomiast odbiorniki, które były zlokalizowane przed naszym nadajnikiem, miały przesunięty obraz. Gdyby ubecja to zauważyła, mogłaby nas szybciej namierzyć. Dlatego postanowiliśmy, że napis będzie ruchomy. To utrudniało wykrycie naszego nadajnika.

Po latach, kiedy pracowałem w Urzędzie Regulacji Telekomunikacji, miałem możliwość zobaczyć, jakim sprzętem dysponowała ówczesna Państwowa Agencja Radiowa. Mogliśmy śmiało nadawać o wiele dłużej.

Próby z pierwszym nadajnikiem zakończyły się pomyślnie, dlatego postanowiono zbudować drugi, o większej mocy. Głównym konstruktorem był dr **Wierzejski**. Kiedy oddano go do eksploatacji, nastąpiła wpadka.

– *Całość mieściła się w torbie podróżnej. Człowiek, który go niósł, wszedł do budynku na Pradze będącego pod obserwacją, ponieważ tam przekazywano bibułę. To był błąd w sztuce, bo ścieżki tych dwóch spraw – bibuły i nadajnika –*

nie powinny się krzyżować. Osoba mająca sprzęt, obawiając się rewizji, musiała wyrzucić go z jedenastego piętra. Po tym wypadku ubecja wiedziała już, czego szukać. To przyhamowało nieco naszą działalność. Robiąc teraz następny nadajnik, musieliśmy być bardzo ostrożni.



Krzysztof Strachalski

Ze względów bezpieczeństwa ludzie współpracujący przy budowie nadajników, starali się nie zostawiać odcisków palców. Notabene niektórzy – nazwijmy ich podwykonawcami – nawet nie wiedzieli, do czego mają służyć robione przez nich elementy, choć zapewne część z nich się domyślała. Części były kupowane przez pośredników, by trop nie prowadził na PW. Ponadto, numery fabryczne były na wszelki wypadek usuwane.

– Trzeci nadajnik – jak wspomina dr **Tarwacki** – wraz z kompletną dokumentacją został przekazany następnemu zespołowi, który miał wyprodukować całą serię.

Orzechy i odpluskwiacze

Koncepcję radioodbiorników dla internowanych opracował mgr inż. **Antoni Fijałkowski** ps. „Kuba”, a pomagali mu zarówno dr **Wierzejski**, jak i dr **Tarwacki**. Radio było wielkości orzecha laskowego. Zrobili ich kilka, nastrojonych na odbiór Radia Wolna Europa. Wyglądały niewinnie, zostały bowiem wtopione w kostki mydła.

– Musiały być małe. Ten problem dawało się przeskoczyć, ale trudności były z zasilaniem. **Antoni** opracował odbiornik reakcyjny, bardzo oryginalny – antena była ferrytowa w ekranie elektrostatycznym. Czułość i selektywność urządzenia uzyskano na jednym tylko obwodzie scalonym, sprowadzonym z Zachodu. Za granicą taki układ scalony wykorzystywano do radylek wbudowanych w zabawki. Dzięki zastosowaniu słuchawki od aparatu dla źle słyszących, jedna mała bateria wystarczała na trzy miesiące słuchania, po dwie godziny dziennie – wyjaśnia szczegóły techniczne dr **Tarwacki**. – Ze słuchawkami była zabawna historia. Kupowaliśmy je w sklepie zaopatrzenia medycznego, przy ulicy Chopina. Któregoś razu włamano się do mnie do pokoju – tzn. ktoś otworzył drzwi kluczem – i zniknęły tylko słuchawki, a inne, drogie urządzenia zostały. Tego samego dnia, kiedy ktoś z nas poszedł do sklepu po słuchawkę, okazało się, że już ich nie było w sprzedaży.

Kolejną rzeczą były wykrywacze podśluchów. Konstruowali je mgr **Fijałkowski**, dr **Wierzejski** oraz mgr **Zaworski**.

– Trafili do nas pluskwy zamontowane w siedzibie Prymasa i jedna z pokoju **Zbigniewa Bujaka**. Dzięki temu wiedzieliśmy, na jakiej częstotliwości nadają. O podśluchach było raczej więcej gadania niż w rzeczywistości ich instalowania – sądzi dr **Tarwacki**.

– Ubecja nie dałaby rady wszędzie ich poupychać, a po drugie byłoby to za drogie. Naszym sprzętem sprawdzaliśmy wiele miejsc, między innymi Muzeum Archidiecezji, gdzie odbywały się spotkania patriotyczne z udziałem aktorów. Działał tam również powielacz. Wiele osób związanych z Muzeum było inwigilowanych. Nie znalazłem tam jednak żadnego podśluchu. Zresztą – dodaje – nasze urządzenie mogło być skuteczne tylko w przypadku pluskwiew radiowych. Nie mieliśmy żadnej pewności co do podśluchów przewodowych, których mikrofony znajdowały się tuż pod tylnikiem, a zostały umieszczone poprzez

nawiercenie ściany z pomieszczenia obok. Oprócz samego sprawdzania, instruowaliśmy ludzi, jak mogą być instalowane różne rodzaje podśluchów i jak się ich wystrzegać.

Co ciekawe, ubecja chciała zlecić naszemu Instytutowi wykonanie urządzeń podśluchowych. Dyrektor się wystraszył – bo rozważana była moja kandydatura do prowadzenia tych prac – i odmówił. Gdyby jednak do tego doszło, chyba bym nie mógł odmówić i pracowałbym na dwie strony – mówi ze śmiechem.

Ponadto na Wydziale Elektroniki dr **Marcin Zawadzki** i mgr inż. **Romuald Car** wykonali wykrywacze promieni podczerwonych. Istniało podejrzenie, że ubecja używa noktowizorów do obserwowania spotkań działaczy „Solidarności” w jednym z kościołów. Promieni nie stwierdzono, a konspiratorów uspokojono.

Przemówił Bujak

Wprawdzie Elektronika przodowała w produkcji sprzętu technicznego, ale... Dr **Andrzej Potyński** z Mechatroniki wspomina o zasmradzaczach, do których miał wykonać wyrzutnie, a mgr inż. **Krzysztof Kozakiewicz** z MEIL-u brał udział w pracach projektowych dotyczących zbiorników ciśnieniowych – również jednego z elementów składowych urządzenia. Substancją, hm, zapachową zajmowali się chemicy z PW. Wycofano się jednak z tego nieeleganckiego sposobu protestu. Natomiast dr **Potyński** wyprodukował sporą partię kolców do przebijania opon. Sposób był prosty, podkładało się urzą-



dzenie pod koło i kiedy samochód ruszał opona najeżdżała na kolec.

– Zrobiłem je w dwóch wersjach. Jedne kute ze ścinków kątownika, a drugie z drutu – razem kilkadziesiąt sztuk. Produk-

cje zlecił mi **Tadeusz Diem**, którego dobrze znałem jeszcze z czasów legalnej „Solidarności”. W stanie wojennym, po jego wyjściu z internatu, nadal utrzymywaliśmy kontakt. Oddałem mu te kolce, a po jakimś czasie zadzwonił, żebym przyszedł. Uścisnął mi dłoń i powiedział: „Dziękuję ci w imieniu kierownictwa”. Pewnie się sprawdziły – dodaje dr **Potyński**. – Potem **Janusz Sobieszkański** przyniósł mi zlecenie na zrobienie urządzenia, które nazywaliśmy małpką. Służyło do przeciągania transparentów na poziomym drucie nad ulicą np. na sieci trakcyjnej. Ze starego budzika, silnika elektrycznego i baterii zrobiłem wózek, który z przodu miał haczyk ciągnący transparent. Jak się popuszczalo sznur, to jechał do przodu, a jak się pociągnęło, po zaczepieniu transparentu, to zjeżdżał z powrotem. Można go więc było wykorzystywać wielokrotnie. Tu – muszę się przyznać – złamałem zasady konspiracji. Zrobiłem małpkę, a **Janusz** gdzieś wyjechał. Był okres wakacji. Pomyślałem, że to jednak ważne i powiedziałem o tym **Tadeuszowi**. Bardzo się ucieszył, że jest już gotowa i ją zabrał. Nie wiedział, że ja realizowałem to zlecenie.

Natomiast nietypową sprawą zajęli się mostowcy z IL-u.

– W czerwcu '82 roku Ojciec Święty przyjechał do Polski z pielgrzymką. Jedno ze spotkań odbywało się na Stadionie X-lecia. Miał tam być ustawiony krzyż, który zaprojektował artysta **Jan Nowicki**, a konstrukcją prof. **Andrzej Stańczyk** – wspomina dr **Obiegała**. – Uzyskano pozwolenie władz na postawienie krzyża, ale bez budowy fundamentów, ponieważ uznano, że będą one zagrażać umocnieniom stadionu. Prof. **Andrzej Stańczyk** postanowił więc zakotwiczyć krzyż sposobem znanym mostowcom. Dzięki temu cała konstrukcja była stabilna i opierała się wiatrom. Potem krzyż dominował we wszystkich transmisjach.

„Głośna” była też akcja, na zamówienie **Zbigniewa Romaszewskiego**, którą wspomina prof. **Jerzy Woźnicki**:

– Pomysł był taki, żeby z głośników nastrojonych na tę samą częstotliwość, umieszczonych na drzewach w Parku Saskim, puścić przemówienie ukrywającego się **Zbigniewa Bujaka**. Miało to wyglądać, jakby drzewa nagle przemówiły. Wymyśliliśmy jednak inne rozwiązanie. Niech **Bujak** przemówi z gigantofonów, takich, jakimi posługują się na koncertach zespoły rockowe. Pojechałem z **Markiem Ślusarzem** na targowisko, ku-

piliśmy niezbędny sprzęt... który zawiozłem, gdzie było trzeba, a... po pewnym czasie z naszych głośników na Placu Bankowym popłynęło przemówienie **Bujaka**.

Trwał stan wojenny. Rozpoczął się proces działaczy KOR-u. Już po kwadransie rozprawę przerwano, gdy na salę wkroczył pułkownik SB. Okazało się, że to, co się dzieje w sali, jest transmitowane na zewnątrz. Po rewizji i przeszkaniu pomieszczenia znaleziono mikro-nadajnik, który wyglądał jak paczka zapalek. Prawdopodobnie był sprowadzony z Zachodu, a za pośrednictwem prof. **Woźnickiego** został przekazany do sprawdzenia zaufanemu człowiekowi na Elektronice.

ARKA

Historia politycznego nielegalnego wydawnictwa zaczęła się niewinnie – ulotki, kartki świąteczne, kalendarze...

– Potem wpadłem na pomysł, by wykorzystać nagrania z nasłuchów milicyjnych i zrobić z tego kasety. Powstało ich kilka – wspomina

Marek Ślusarz. – Z odbiornikami milicji to było tak: 1 maja '82 była olbrzymia demonstracja na Starówce – chyba ze 25 tysięcy osób – z flagami, transparentami. Władza właściwie nie interweniowała. W związku z tym, 3 maja znowu urządzono manifestację, ale wtedy milicja już się przygotowała i ganiała nas po całym mieście. Pojawił się problem nasłuchu – dobrze byłoby wiedzieć, gdzie oni są i co szykują. Kupiliśmy w sklepie dwa odbiorniki tranzystorowe. Na Elektronice zostały przestrojone na zakres fal milicji. Dlaczego dwa? Jeden odbierałby tylko jednego rozmówcę, a my chcieliśmy słyszeć rozmowy. Odbiorniki były potem jeszcze wykorzystywane podczas demonstracji, które fotografowaliśmy.

Wróćmy znowu do laboratorium fotograficznego, o którym wspomniał **Marek Ślusarz**. W pewnym momencie stało się ono integralną częścią nielegalnego Wydawnictwa Politechniki Warszawskiej ARKA. Największym sukcesem wydawnictwa roku '83 był album stanu wojennego. Zawierał 51 zdjęć – amatorskich i

profesjonalnych. A najistotniejsze jest to, że ukazał się w nakładzie 1000 egzemplarzy!

Głównie jednak ARKA zajmowała się wydawaniem kaset – początkowo tylko powielaniem tych, które pojawiały się w drugim obiegu – i rozprowadzaniem ich wewnątrz Uczelni. Na pierwszy ogień poszedł **Jacek Kaczmarek**, potem **Przemysław Gintrowski**...

– Zgodnie z obyczajami II struktury, na użytek zewnętrzny, przyjąłem pseudonim „**Arkadiusz**” – wspomina **Piotr Szwemin**. – Zaczęliśmy wydawać kasety. Były to nagrania studyjne „Pamiętek” i „Raportu z Oblężonego Miasta” **Przemysława Gintrowskiego**, koncert **An-**



Henryk Supronowicz

drzeja Rosiewicz oraz występy odbywające się w Muzeum Archidiecezji. Nagraliśmy także koncert „Piwnicy pod Baranami” oraz recital **Danuty Rinn** z **Krzysztofem Kolbergerem** do tekstów **Ernesta Brylla**. Rejestrowaliśmy również spotkania i występy organizowane przez ks. **Leona Kantorskiego** w Podkowie Leśnej. Z pozyskaniem materiału na kasety muzyczne nie było problemu. Sądzę, że wielu piosenkarzom i aktorom zależało na wydaniu nagrań w drugim obiegu. W czasie kilkuletniej działalności Oficyny wydaliśmy 42 tytuły, przy nakładach od 100 do 550 sztuk każdy. Łącznie wypuściliśmy w świat około 10 000 kaset.

Zawsze pojawiał się na nich napis: „Wydano bez wiedzy autora”, chociaż wszyscy autoryzowali swoje nagrania i doskonale o nich wiedzieli. Pod koniec roku '84 wykonawcom zaczęto płacić tantiemy – 100 zł od kasety, które zwykle kosztowały kilkaset złotych.

Jednak w centrum zainteresowania Wydawnictwa ARKA była nie muzyka, lecz publicystyka. Wydano 18 kaset „Gazety Dźwiękowej”, a także audycje **Stefana Bratkowskiego**.

Pierwsze cztery zmontowane numery „Gazety” dotarły do „**Arkadiusza**” przez przyjaciela – **Lecha Jęczyka**. Montaż piątej i kolejnych audycji **Bratkowski** powierzył ARCE.

– Otrzymywałem surowy materiał zawierający przegląd aktualności i kilka felietonów, który trzeba było oczyścić z przejęzyczeń i porozdzielać zbitki słowne, żeby lepiej się słuchało. Wykorzysta-

szczona po artykule o procesie morderców księdza **Jerzego Popieluszki** w 8 numerze *Gazety* – wspomina dr **Szwemin**.

Z montażem bywały kłopoty, ponieważ **Stefan Bratkowski** nagrywał na różnych magnetofonach, często z rozregulowaną prędkością przesuwu taśmy. Różny miał zatem tembr głosu, a „**Arkadiusz**” nie znając go osobiście nie wiedział, który jest właściwy. Znalazł jednak na to świetny sposób. Kupił dwa identyczne stroiki i...

– **Stefan** zaczynał nagrywanie od podania tonu, ja zaś – po otrzymaniu jego kasety – zaczynałem swoją pracę od strojenia, regulując prędkość przesuwu taśmy odtwarzacza do wysokości nagrania przez **Stefana** dźwięku.

Dr **Szwemin** nie był radiowcem ani montażystą, a i sprzęt, którym dysponował daleki był od profesjonalnego.

– Wycinanie jednej zgłoski

przejęzyczenia zajmowało nieraz pół godziny. Redakcja i montaż pochłaniały zwykle dwadzieścia kilka godzin oraz ogromną ilość papierosów i herbaty – wspomina. – Trzeba było się śpieszyć, bo wiadomości się dezaktualizowały, a **Stefan** czekał niecierpliwie.

„Gazeta Dźwiękowa” była nagrywana i montowana w dwu egzemplarzach-matkach. Jedna trafiała od razu do **Stefana Bratkowskiego**, a druga czekała. Kiedy w nielegalnym obiegu pojawiały się kopie pierwszej, ARKA przygotowywała następne 300 do 500 kopii.

Kasety były powielane w domu dr **Szwemina**. Najpierw na magnetofonach pożyczonych oraz dwóch – zakupionych dla ARKI przez II strukturę – „lubartowskich”, a z czasem – za pieniądze ze sprzedaży kaset – na sukcesywnie dokupowanych magnetofonach „kasprzakowskich”.

– Kasety-matki robiłem i powieliałem na nieco lepszych magnetofonach, kupionych w Peweksie za pieniądze z dotacji otrzymanych od **Lecha Jęczyka**, **Mariana Hanasza** i z RWE. Przed każdą sesją trzeba było skontrolować sprzęt i „dostro-

ić” do posiadanych w danym momencie taśm, z czym wiązała się cała procedura kalibracji – szybkości przesuwu, poziomu zapisu i prądu podkładu. Serwis sprzętu zapewniał początkowo mój dyplomant **Tadeusz Skierkowski**, a po jego wyjeździe musiałem się sam tego nauczyć. Jedna sesja kopiowania trwała 30–50 godzin, więc zajmowało to dwa, trzy dni. W tym czasie kręcące się magnetofony zajmowały całą bieliźniarkę. Spało się mało, żeby jak najszybciej wykonać cały nakład, a potem „oczyścić” mieszkanie. Pozostawiały tylko kasetowce i biurko zarzucone częściami mającymi stwarzać pozory, że dorabiam sobie serwisem.

W pierwszym okresie działalności do kaset dodawano kilka okładek, zachęcając tym nabywców do kopiowania i rozprowadzania. Początkowo projektami i wykonaniem okładek zajmowało się, wspomniane już, laboratorium. Kilka na swoim koncie mieli **Lech Krzciński** i **Marek Ślusarz**. Potem okładki robił artysta plastyk **Jan Bokiewicz**.

Problemem było pozyskiwanie kaset, ponieważ nabycie od razu dużej ich liczby mogłoby wzbudzić podejrzenia. Korzystano więc z różnych źródeł. Jednym z nich był sklep Towarzystwa Biblijnego na Nowym Świecie.

– Można tam było tanio kupić nagrania Biblii czy też psalmów, czytane przez spikerów radiowych. Jeden z moich kolegów, z kolportażu zewnętrznego, nawiązał kontakt z człowiekiem, który kupił nawijarkę i chciał uruchomić produkcję czytanych kaset. Jak się potem okazało, obudowy tych kaset były przeznaczone tylko do nagrywarek, ponieważ nie miały na grzbiecie ząbka. Bez niego zapis kasety był zablokowany. Nie mógł ich sprzedać, a my kupiliśmy chyba ze 2000 sztuk. Zabawne było to, że człowiekiem tym okazał się pracownik SB, dorabiający sobie „po godzinach” – wspomina dr **Szwemin**. – Elementy potrzebne do złożenia własnej nawijarki wykonali honorowo koledzy z warsztatu politechnicznego: **Andrzej Grabowski** i **Mieczysław Guziak**. Wszystkie detale mieliśmy gotowe pod koniec roku 1988. W montażu byliśmy jednak zbyt opieszali – upadek systemu przyszedł szybciej.

„T” jak Tajna lub Tymczasowa

– Komisja Zakładowa funkcjonowała cały czas. Jej skład, nieco uzupełniony, nadal tworzyli działacze komisji jawnej – mówi dr **Andrzej Smirnow**, a dr **Kornel Wydro** dodaje, że zmiana nazwy na



Andrzej Szuster

wałem do tego dłuższe przerwy w pierwotnym nagraniu, z naturalną ciszą pomieszczenia.

Dr **Szwemin** wspomina, że pierwsze próby z nagrywaniem tzw. zupełnej ciszy wypadły sztucznie. To musiała być „cisza naturalna”, w której tle było słuchać odgłosy pomieszczenia dochodzące z zewnątrz lub oddechy znajdujących się w nim osób.

– Z niej robiłem wstawki, tam gdzie było to potrzebne. Do tekstów dołączałem przerywniki, a po nich komentarze muzyczne będące fragmentami piosenek. Starłem się nimi spointować tekst, czasami zaś dośpiewanie dalszego ciągu piosenki – zwłaszcza dosadnego – zostawiałem słuchaczowi. Do ilustracji muzycznej wykorzystywałem nagrania pochodzące prawie wyłącznie z drugiego obiegu. Piosenki te miały czasami swoją premierę właśnie w „Gazecie”, jak np. „Wróżba” **Zbigniewa Herberta** zaczynająca się od słów: „Kary nie będzie dla przeciętnych drani...” śpiewana przez **Przemysława Gintrowskiego**, a zamie-

Tymczasową Komisję Uczelnianą wynikała z faktu, że był to zespół ludzi, którzy przewodzili związkowi podziemnemu na terenie Politechniki. Nieformalność polegała na tym, że część osób pełniła w niej funkcje z wyboru, dokonanego jeszcze za czasów legalnej działalności związku, natomiast pozostali przyjęli je dobrowolnie w okresie stanu wojennego.

– Zaznaczam, że nie były to struktury samowolne i zdecydowanie się od nich różniły. Nie czuliśmy, że działamy w sposób nieuprawniony. Często spotykaliśmy się z wyrazami poparcia. Nie było obiekcji, wątpliwości czy zarzutów, chociaż prowadzona przez nas działalność była nieoficjalna. Myślę, że zajmujące się tym osoby wiedziały, co i kto robi. Oficjalnie na ten temat niewiele się rozmawiało. W pracy staraliśmy się sprostować temu, na co liczyli nasi legalni członkowie.

TKU podejmowała decyzje o charakterze politycznym, a także zajmowała się kontaktami zewnętrznymi.

– Nawiązaliśmy współpracę z Uniwersytetem Warszawskim, Akademią Medyczną i Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. Na początku także utrzymywaliśmy kontakty ze Szkołą Główną Planowania i Statystyki, ale była ona silnie upartyjniona, dlatego potem nasze drogi się rozeszły. Przynajmniej raz na dwa tygodnie odbywały się konsultacje z Prymasem – wyjaśnia dr **Smirnow**.

Do TKU dokooptowanych zostało kilka osób – m.in. dr **Andrzej Szuster**:

– Zajmowałem się przede wszystkim kolportażem zewnętrznej prasy na mój

tycznie się spotykaliśmy, wymienialiśmy informacje, a wszelkie akcje robiliśmy razem. Uzgadnialiśmy wzajemne stanowiska, które potem nasi przedstawiciele zgłaszali podczas obrad Senatu.

TKU zbierała się co tydzień.

– Spotykaliśmy się poza PW, w mieszkaniach prywatnych, w składzie liczącym od kilku do kilkunastu osób. Dyskusje dotyczyły przyszłości, sposobu funkcjonowania uczelni, dydaktyki, nauki. W różnych sprawach konsultowaliśmy się także z rektorem **Findeisenem**, np. odnośnie pierwszej – w roku 1982 – weryfikacji pracowników – mówi dr **Smirnow**.

Rektor wspomina:

– Z działaczami związku rozmawiałem nieoficjalnie. Pamiętam spotkanie z **Andrzejem Smirnowem** przy fontannie. Kilka innych odbyło się w mieszkaniach prywatnych, np. na Powiślu u dr. **Henryka Stelmasika** – pracownika mojego wydziału. Szczegółów już dzisiaj nie pamiętam, ale nasze rozmowy najprawdopodobniej dotyczyły bieżących spraw Uczelni.

Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego odwołano wielu rektorów, m.in. **Henryka Samsonowicza** z UW.

– Zbieraliśmy podpisy pod listem wyrażającym naszą solidarność z usuniętym rektorem. Celem akcji było również podtrzymanie ludzi na duchu i pobudzenie ich do działania. Podpisało się prawie 2 tys. pracowników Uczelni. Całość opracowana w formie albumu, została wręczona profesorowi, a następnie zdeponowana u Prymasa. Postąpiliśmy tak z dwóch powodów – wyjaśnia dr **Smirnow**. – Po pierwsze, żeby to zachować, a po drugie, aby ochronić tych, którzy się podpisali, na wypadek gdyby album wpadł w niepowołane ręce.

Zebrania TKU odbywały się w różnym składzie. Np. **Grażyna Maciejko** bywała tam m.in. jako łącznik pomiędzy komisją a Senatem, którego początkowo była członkiem.

Prof. **Schmidt-Szałowski** wspomina:

– Pamiętam, jak organizowaliśmy pomoc finansową m.in. dla rodzin osób

aresztowanych na Śląsku, gdzie działalność związkowa była bardzo trudna ze względu na szczególnie silne represje. Byłem jednym z czterech łączników TKU, którzy utrzymywali kontakty z organizacjami Związku na poszczególnych wydziałach.



Wielu ludzi regularnie spotykało się, by porozmawiać. Byli to zarówno członkowie TKU, komisji wydziałowych, jak i nie pełniący żadnych funkcji. W domu prof. **Osieckiej** zbierała się grupka osób z IL-u, które dyskutowały o sprawach bieżących – protestach, akcjach, uroczystościach, zagospodarowaniu składek – a także o polityce i przyszłości.

Mgr **Andrzej Gaca** wspomina natomiast o swoim klubie dyskusyjnym, który zorganizował prof. **Stefan Weyher**. W jego mieszkaniu – blisko Uczelni, na rogu Marszałkowskiej i Hożej – dość regularnie spotykało się kilka osób.

Wciąż aktualne było pytanie: – Co dalej?

Powieść w wydaniu dźwiękowym

Oprócz „dwójki” na Politechnice powstała także inna siatka, zainicjowana przez TKU. Uczelnia została podzielona na tzw. czwórki wydziałowe.

Wspomina dr **Bogdan Dzierżawski** z Architektury:

– Byliśmy razem z **Elektroniką**, **Geodezją**, **Inżynierią Sanitarną** i chyba przez jakiś czas z **Transportem**. Ktoś z nas, nie pamiętam dokładnie, był łącznikiem do TKU. Prowadziliśmy rutynowe działania:



Piotr Szwemin

Wydział (ISiW), **Chemiczny**, **Łądówkę** i **Elektronikę**. Drugą sprawą dotyczyła kontaktu z innymi uczelniami. Systema-

kolportaż, zbieranie składek i wymiana informacji. Poważniejsze problemy dotyczące spraw wydziałowych – zagrożenia zwolnieniami, zbyt ostre wystąpienia władz – przekazywaliśmy do rektora **Findeisena**, mając nadzieję, że będzie próbował jakoś temu zaradzić.



Marek Ślusarz

Do innej „czwórki” należała dr **Rembertowicz**:

– W mojej, oprócz Chemii, była Fizyka i chyba MEiL. Spotykaliśmy się dość regularnie i wymienialiśmy wiadomości. Pełniłam ponadto funkcję delegata z „czwórki” do TKU, gdzie uzyskiwałam informacje o tym, co się dzieje na Uczelni i w kraju. Potem przekazywałam je mojej „czwórce”. To był bardzo pracowity okres. Co tydzień spotkania „czwórek”, co dwa tygodnie na Wydziale, a także z TKU, ponadto zbiórki pieniędzy i darów dla Domów Dziecka. Jeździło się po cebulę i różne inne rzeczy, a poza tym były jeszcze jakieś kontakty zewnętrzne – jednym słowem „co wieczór powieść w wydaniu dźwiękowym”.

Przynależność MEiL-u do tego gremium potwierdza mgr **Krzysztof Koza-kiewicz** i dodaje także Wydział Elektryczny, który reprezentował **Jerzy Olędzki**.

Wspomina, że istotne były następujące informacje: kto z członków związku jest nadal na Radzie Wydziału, na ile osób można liczyć w przypadku większych akcji – takich jak manifestacje lub zbiórki

oraz jak mogą na to zareagować władze Wydziału.

Spotkania tej „czwórki” odbywały się na uczelni, a ściślej...

– Najczęściej u mnie w laboratorium. Miałem tam urządzenia, które po włączeniu zagłuszały nasze rozmowy, gdyby ktoś chciał nas podsłuchiwać – wyjaśnia dr **Olędzki**.

Trochę inaczej sytuacja wyglądała na Południu.

Dr **Andrzej Potyński** z Mechatroniki wspomina spotkania na Wydziale oraz kontakty międzywydziałowe, które nawiązał z dr **Janem Szymańskim** z Wydziału Mechanicznego Technologicznego i dr **Sobieszczańskim** z SIMR-u podczas spacerów po ulicy.

Opowiada o tym dr **Sobieszczański**:

– Konspiracja zaczęła się od samego dołu. Praktycznie z dnia na dzień Komitety Wykonawcze przekształciliśmy w tajne. Nie obejmowały jednak wszystkich, ponieważ krąg trzeba było zawęzić do grupy osób mogących działać w trudnej sytuacji. Zaczęliśmy nawiązywać kontakty z sąsiednimi wydziałami na Południu PW, a w styczniu już mieliśmy tam tajne kierownictwo. W miarę możliwości zachowywaliśmy się normalnie – przychodzili do mnie koledzy, rozmawialiśmy na korytarzu – tak, jakby nic się nie działo. Należeliśmy do jawnych struktur i byłoby to co najmniej dziwne, gdybyśmy teraz przestali się do siebie odzywać. Zaczęliśmy obserwować, co się dzieje w GG. Na początku informacje były niejasne. Po pewnym czasie doszliśmy do wniosku, że tu też jest jakiś komitet, który kieruje siecią i w pewnym sensie ma władzę polityczną. Trzeba było bardzo ostrożnie odgadywać, kto jest zaangażowany. Spotkałem się z **Andrzejem Smirnowem** i dokonaliśmy powiązania tych dwóch, przez pewien czas niezależnych, tajnych organizacji.

Oprócz tego na wszystkich wydziałach spontanicznie tworzyły się tajne siatki powiązań.

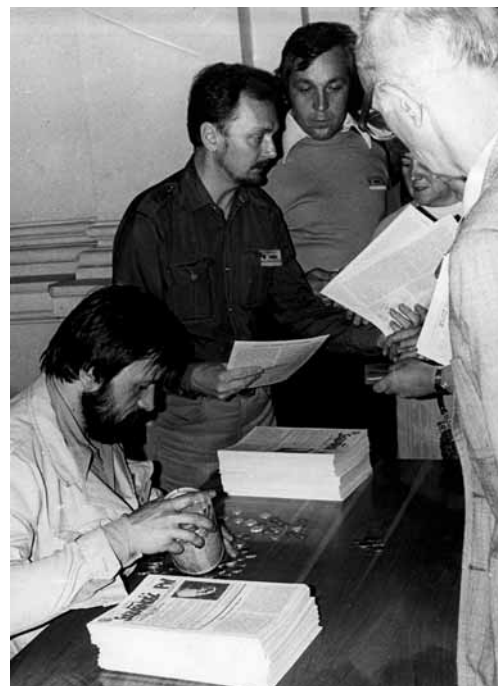
– Działaliśmy taką starą, akowską metodą piątek. Każdy znał tylko cztery osoby. Wymienialiśmy się informacjami, gazetkami. Ludzi, którzy brali w tym udział, znaliśmy już wcześniej z „Solidarności” i mieliśmy do nich bezwzględne zaufanie. Staraliśmy się także, przynajmniej na początku, utrzymać naszą akademicką niezależność, ale napotykaliliśmy silny opór ze strony profesury i partyjnych struktur na Wydziale – mówi mgr **Tadeusz Pończyk** z dawnego Wydziału Mecha-

nicznego Technologicznego, obecnie Inżynierii Produkcji.

– W stanie wojennym obowiązywało niepisane prawo – każdy, kto pełnił jakąś funkcję w „Solidarności”, miał ją piastować aż do czasu, kiedy związek znów zaczął działać legalnie – tłumaczy dr **Bogdan Rymśa**.

Uważał on za oczywiste, że jako przewodniczący zorganizuje nielegalną strukturę, która będzie się zajmować głównie kolportażem pism, książek oraz zbieraniem składek. Zwrócił się przede wszystkim do grona zaufanych osób, które po wypadkach w Bydgoszczy, kiedy w kraju trwały przygotowania do strajku powszechnego, utworzyły na Wydziale Tajny – dublujący oficjalny – Komitet Strajkowy.

Zaufanych osób na IL-u było bardzo dużo. Część z nich prof. Osiecka wymienia niemal jednym tchem: dr **Bogusław Obiegalka**, dr **Bogdan Rymśa**, dr **Krzysztof Łacki**, prof. **Marek Witkowski**, dr **Tadeusz Zieliński**, dr **Basia Radejowska**, dr **Marysia Smirnow**, mgr inż. **Krzysztof Guterman**, dr **Szczepan Lutomirski**, dr **Jacek Nitka**, dr **Andrzej Sadowski**, dr **Krzysztof Traczyński**, dr



Andrzej Stańczyk, dr **Wojtek Grodecki**, dr **Ania Jankowska**.

– Było ich dużo więcej i także aktywnie działały w „Solidarności” – dodaje.

Dr **Rymśa** uzupełnia listę o: dr. **Jana Rączkę**, dr. hab. **Janusza Dłużewskiego** i dr. **Lecha Winnickiego**. Podkreśla też szczególne zasługi dr. **Tadeusza**

Zielińskiego, który bardzo dokładnie przestrzegał zasad konspiracji, dlatego niewiele osób wie o jego tajnej działalności. O **Annie Jankowskiej** mówi, że w skali uczelnianej, była jednym z najbardziej aktywnych działaczy.

Członkowie Związku z wielu Wydziałów czy jednostek administracyjnych poczuli się do uczestnictwa w ogólnopolskich akcjach protestacyjnych. Na Uczelni były organizowane np. tzw. milczące przerwy, podczas których studenci i wykładowcy spotykali się w określonym miejscu – na Wydziale lub w Gmachu Głównym i.... stali w milczeniu.

W maju '82 „Solidarność” wezwała do ogólnopolskiego, 15–minutowego strajku o godzinie 12.

– *Byliśmy wtedy już trochę zastraszeni. Mówiło się, że za uczestnictwo będą zwalniać* – wspomina **Zbigniew Lewandowski** z Biblioteki Głównej. – *Tymczasem, w Dużej Auli, obok drzwi do Biblioteki stało kilkanaście osób, moich koleżanek i kolegów. Wszyscy mieli albo znaczki Solidarności, albo z Matką Boską. Byłem wzruszony i poczułem się tym podbudowany. Tego dnia w wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego pokazywano ekipę BBC, która bezskutecznie usiłowała się dostać do Gmachu Głównego. Spiker komentował, że w środku nie było nikogo. A przecież my tam byliśmy!*

Byli i inni, zarówno na Terenie Głównym przy fontannie, jak i na poszczególnych Wydziałach na Południu.

Wprawdzie konspiracja na Uczelni tworzyła się w pewien sposób spontanicznie, ale zgodnie z jej kardynalną zasadą – im mniej osób o czymś wiedziało, tym było lepiej. Czasem więc dochodziło do nieporozumień.

– *Po pewnym czasie okazało się, że oprócz tej struktury, nad którą ja mam pieczę* – wspomina dr **Rymsza** – *pojawiło się „konkurencyjne” zbieranie składek. Dotarłem do człowieka, który to prowadził, ale nasza rozmowa nic właściwie nie wyjaśniła, bo on zasłaniał się... zasadami konspiracji. Udało się jednak „zamknąć ten kanał”.*

Dużo nieudanych badań

Wróćmy jednak do „dwójki”. Wiele osób działało w jej poszczególnych strukturach lub służbach, wykonując określone zadania wynikające z okoliczności, możliwości albo umiejętności zawodowych. Potencjał intelektualny pracowników Uczelni i zaplecze naukowo–badawcze były w owym czasie wykorzystywane

do... różnych celów. O niektórych już była mowa, ale były też inne. Zaczniemy od druku. Niezbędny do tego jest papier – tego na PW nie robiono, ale farbę drukarską owszem.

Zajmował się tym m. in. **Marek Ślusarz**. Wspomina konsultacje z dr. **Jackiem Arczem** i kłopoty, bo farba nie zawsze była odpowiedniej gęstości.

– *Dopiero później dowiedziałem się, że doskonałą technologią było mieszanie pasty BHP z sadzą. Najprostsze rozwiązania są najlepsze. Laikom może się wydawać, że do wydrukowania kilkuset egzemplarzy bibuły potrzeba niezwyklej ilości farby, tymczasem wystarcza mniej więcej litr.*

Odczynniki chemiczne do robienia farby organizowała – jak się wówczas mówiło – inż. **Elżbieta Orkan-Łęcka**.

– *W moim laboratorium prowadziliśmy dużo doświadczeń, które, niestety, nie przynosiły oczekiwanych wyników, ale za to... zużywało się spore ilości odczynników. Poza tym, jak wznowiono zajęcia, studenci I i II roku byli tacy „niezdarni”... brali zbyt dużo różnych substancji...*

W dogodnej sytuacji była **Grażyna Maciejko**, której podlegał magazyn odczynników w zakładzie. Wypisywała zamówienia, a szefowie podpisywali. Jak przypuszcza pani **Grażyna** – chyba woleli nie wiedzieć...

Zajmowano się także – przy okazji – wywabianiem stempli z kartek na benzynę, towaru wówczas deficytowego.

– *Używałem freonu, bo szybko paruje i jakiegoś proszku – coś w rodzaju talku – który absorbował farbę – wyjaśnia technologię „Franek”.*

Przez radio do... muzeum

Marek Ślusarz zajmował się również drukowaniem politechnicznego dwutygodnika, który jednak nie ukazywał się regularnie:

– *Robiliśmy go tzw. metodą białkową. Na czym polegała? Kiedyś w zakładach pracy były powielacze elektryczne. Matrycę, która wyglądała trochę jak przebitka, pokrywało się specjalną substancją i zakładało na maszynę do pisania. W miejscach, w które uderzały czcionki, matryca stawała się przepuszczalna. Potem montowało się ją na powielaczu z dozownikiem farby i drukowało, czyli powielalo. W warunkach konspiracyjnych najpierw trzeba było zdobyć matrycę, następnie zapisaną kładło się na papier i przejeżdżało wałkiem umocznym w farbie drukarskiej. Ponieważ trudno było do-*

brać gęstość farby, a nie było dozownika, wydrukowane egzemplarze rozkładało się, by wyschły. Potrzebna była do tego spora przestrzeń.

Nadruk „Solidarność” pisany „solidarycą” początkowo był stemplowany pieczątką wyciętą z gumy. **Marek Ślusarz** wspomina, że potem dla ułatwienia zrobił specjalną matrycę z sitodruku. Potrzebną do niej emulsję wykonał od podstaw z odczynników światłoczułych.

– *Nakładało się to na siatkę, suszyło, potem naświetlało, następnie wodą spłukiwało nie naświetlone miejsca, utwarzało i już... – opowiada.*

Przez prawie dwa lata drukowaniem biuletynu „Informacja NSZZ Solidarność



Włodzimierz Tarwacki

PW” zajmował się prof. **Marek Witkowski**.

– *Część techniczną wykonywałem u siebie w domu na Bemowie. Zacząłem go budować jeszcze przed powstaniem „Solidarności”. W stanie wojennym prace trwały nadal. W okolicy nie było wówczas innych budynków. Na terenie budowy zazwyczaj kręca się ludzie i nie wzbudza to podejrzeń, więc tam powstała „drukarnia”. Stosowałem prymitywną technikę. Używałem czegoś w rodzaju powielacza. Pamiętam „wałkowanie”, które trwało kilka godzin, ponieważ nakład wynosił kilkakrotnie egzemplarzy. Pomagała mi córka, wówczas licealistka, a czasami także żona. Materiały dostawałem od **Andrzeja Gomulińskiego** i chyba od kogoś je-*

szcze. Ktoś inny dostarczał papier i ktoś także zabierał gotową bibułę. Trwało to od roku 1982 do 1984. Kiedy budowa została zakończona, wprowadziłem się i zacząłem aktywnie działalnością poza Politechniczną. Dom był w dobrym punkcie i odbywały się tam m.in. spotkania działaczy Regionu.

Wspomniany prof. **Gomuliński** od początku w „dwójce” zajął się działalnością wydawniczą. Pisał teksty do politechnicz-



Zygmunt Trzaska-Durski

nej gazetki, pozyskiwał autorów. Brał też udział w kolportażu – zanosił paczki do dziupli.

Przyznaje, że przygotowywanie do druku stałych biuletynów zajmowało mu sporo czasu. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że chyba wycofa się z działalności na PW, był bowiem także intensywnie zaangażowany w Radiu „Solidarność”.

– Reżyserowałem, nagrywałem, pisałem, czasem też coś czytałem. Miałem świadomość, że wielu moich kolegów z Politechniki, zwłaszcza z Elektroniki, jest zaangażowanych w techniczną stronę tego przedsięwzięcia. Nie wiedziałem kto dokładnie. Kiedy w roku 1989 w Muzeum Techniki pokazano na wystawie sprzęt podziemnej „Solidarności”, ujawnili się ludzie, którzy go konstruowali i z niego korzystali. Wtedy uświadomiłem sobie, że dla mnie najkrótszą drogą trafienia do muzeum okazało się... radio.

Decyzję odejścia z konspiracyjnych struktur politechnicznej „Solidarności”

podjął jednak dopiero w roku 1984, kiedy został wybrany dziekanem.

– Nie dałem już rady ciągnąć trzech rzeczy. Dziekan – to było w tamtych czasach nie tylko stanowisko akademickie, ale i polityczne – musiałem mu poświęcić wiele czasu.

Prof. **Schmidt-Szałowski** dopiero po odwołaniu go ze stanowiska dziekana (sierpień '83) aktywnie włączył się do konspiracji.

– Zajmowałem się pisywaniem i redakcją tekstów do naszego politechnicznego pisma, a także pozyskiwaniem autorów. Koledzy z Instytutu Poligrafii przygotowywali pismo do druku. Ja dostawałem już gotowe egzemplarze.

Kozak

Drukiem zajmował się także mgr **Andrzej Czaja** – zarówno u siebie w domu, jak i, hm... gdzie się dało. Były to ulotki dla Politechniki i nie tylko.

– Ile ja waniem ludziom napsułem – wspomina z westchnieniem.

Do dziś ma w domu sporo klisz i wydrukowanych z nich ulotek. Przez pewien czas działał razem z **Tadeuszem Niedziałkiem** w mieszkaniu jego ciotki na Grochowie.

– Pamiętam, jak kiedyś – po całym dniu drukowania – **Andrzej** stwierdził, że zabierze część materiałów ze sobą. Przebrał się w garnitur, założył ciemny płaszcz, a... na plecy jaskrawoczerwony plecak ze stelazem. Zbliżała się godzina milicyjna. Wprowadził do domu miał tylko kilka przystanków tramwajem, ale ryzyko istniało. Chciałem go zatrzymać, ale się uparł...

– Wsiadłem do tramwaju, było w nim nawet dwóch milicjantów, ale się mną nie zainteresowali – wspomina **Andrzej Czaja** i nie ukrywa, że miał kilka takich kozackich zachowań.

W '82 na demonstrację na Starym Mieście poszedł z Grochowa owinięty transparentem.

Kiedy dwa lata później szedł na inną, na widok kolumny ZOMO nie wytrzymał i... pokazał „zajączka”. Zgarnęli go i wylądował „na dołku”.

– W jednym, małym pomieszczeniu było nas tak wielu, że o spaniu nie było mowy, ale za to jakie towarzystwo i rozmowy... – wspomina.

Prof. **Osiecka** jako siła robocza – jak mówi – była wykorzystywana do drukowania na powielaczu, który stał w czymś mieszkaniu. Za którymś razem – było już późno, a emocje odgrywały w tym wszystkim istotną rolę – chciała się stamtąd jak

najszybciej oddalić i dopiero na schodach zorientowała się, że zapomniała torebki.

Podjejrany typ

To co wydrukowane trzeba było kolportować. Na Uczelni zajmowało się tym mnóstwo ludzi. Jedni niejako służbowo, w ramach zadań zleconych im w konspiracyjnej strukturze, inni dlatego, że mając dostęp do różnych wydawnictw drugiego obiegu, czuli się w obowiązku je rozprowadzać. Włączył się w to aktywnie – dysponujący „żukiem” – **Tadeusz Niedziałek**.

– Przynajmniej raz w tygodniu kontaktowałem się z **Danką Lisowską**, **Andrzejem Czają**, **Adamem Kunickim** i **Andrzejem Konwiakiem** z Biblioteki Głównej.

Te wizyty tak wspomina **Zbigniew Lewandowski** z BG:

– **Tadeusz Niedziałek** przychodził regularnie, jak listonosz, z wielką torbą bibuły do mojego szefa. To było niewiarygodne, że bezpieka nigdy go nie zatrzymała. Mgr **Elżbieta Dudzińska** też regularnie przywoziła w bagażniku samochodu bibułę. Dawaliśmy to zaufanym ludziom, tym bardziej że biblioteka to było takie oczywiste miejsce, gdzie się bywało. W sposób mniej widoczny nosił bibułę mgr **Andrzej Gaca**. W rękawy w kurtce miał wszyte drugie, dodatkowe i tam wkładał papier. Kolportował różne wydawnictwa – między innymi i politechniczne, czyli Biuletyn „Solidarność” i Informacja NSZZ „Solidarność” PW.

Wróćmy jednak do wspomnianego już listonosza. Ponieważ miał kontakt z różnymi wydawnictwami i „żuka” do dyspozycji, ilości bibuły, jaką przewoził, były znaczne. Trzeba ją było gdzieś magazynować, zanim zabrali ją kolporterzy. W domu się bał, ale sąsiad wyjeżdżając dał mu klucze do swojego mieszkania. Kiedy zapytał, czy może je wykorzystywać, usłyszał: „Ja nic nie wiem”. W efekcie cały pokój u sąsiada był niemal po sufit zawalony zarówno papierem, jak i gotowymi wydawnictwami.

Wspomina zabawne – wtedy jednak nie dla wszystkich – wydarzenie, związane z odbiorem bibuły.

– Tak się złożyło, że około osiemnastej mieli do mnie przyjść **Andrzej Czaja** i **Janusz Surowiec**, którzy wtedy się nie znali. Czekałem, ale żaden się nie pojawił. Do mojego budynku były dwa wejścia, od ulicy i od podwórka. Następnego dnia, kiedy spytałem **Andrzeja**, czemu nie przyszedł, usłyszałem: „Wiesz od podwórka wszedł jakiś typ, jak go zobaczyłem, to... w nogi”. **Janusz** natomiast

tłumaczył, że na klatce zobaczył jakiegoś podejrzanego typu, który wszedł od ulicy, więc... dał dyla.

Dr **Paderewski** natomiast używał swojej piwnicy w domu na Saskiej Kępie. Trafiały tam wydawnictwa politechniczne i inne, a także rzeczy z darów zagranicznych. Wszystkim zawiadywały – jak wspomina – trzy dzielne panie: mgr **Danuta Lisowska**, mgr **Elżbieta Dudzińska** i jego żona **Ludmiła**.

– Jedni przynosili, inni zabierali. Przewijało się mnóstwo osób. Przychodził tam pan **Andrzej Czaja** i razem z moją córką drukował coś na powielaczu. To była sympatyczna, rodzinna konspiracja.

Dr **Rymsza** z IL-u podkreśla zasługi dr. **Zielińskiego**, który zajmował się m.in. dostarczaniem książek. Bagatela. Jedna paczka np. z dwudziestoma pozycjami, to już był całkiem niezły pakunek, który mógł zwrócić uwagę. Wspomina także kłopoty z kolportażem. Pracował w zakładzie prof. **Zbigniewa Grabowskiego**, ówczesnego zastępcy kierownika Wydziału Nauki przy KC, i był – jako przewodniczący wydziałowej organizacji związkowej – pod specjalnym nadzorem. W pewnym momencie do pokoju obok, połączonego drzwiami z tym, w którym siedział, przeniesiono człowieka, o którym mówi:

– Mieliśmy informacje, aby przy nim zachowywać się ze szczególną ostrożnością. Kiedy koledzy odwiedzali mnie, żeby pogadać, kładłem palec na ustach i pokazywałem na drzwi. Pewnego razu przyszedł jeden z naszych kolporterów i tłumaczył, że nie zastał właściwej osoby, zostawił mi paczkę bibuły. Cóż mogłem

wróg i dlatego ostrzegam, nie trzymaj bibuły u siebie w pokoju”.

Prof. **Osiecka**, także zaangażowana w kolportaż, wspomina, że czasem było mniej gazetek niż chętnych, dlatego niektóre teksty z prasy podziemnej przepisywała na maszynie i dawała zaufanym osobom.

Konkubiny ochotniczek

Uczelnia bez studentów traci nieco swą rację bytu, toteż rektorowi prof. **Findeisenowi** zależało na tym, aby jak najszybciej wznowić zajęcia. Zanim do tego doszło, rektor odbył wiele rozmów zarówno z działaczami zdelegalizowanego Związku, jak i z partyjnymi.

– Wszyscy byli, za, ale... spotkałem się też z opinią – jednego z działaczy „Solidarności” – że nie należy tego robić. Dlaczego? Bo w ten sposób dajemy władzy argument, że pojawiła się normalizacja. Działanie – jakby nic się nie stało – oznacza w efekcie zwycięstwo twórców stanu wojennego. Staralem się zrozumieć te racje, choć wydawały mi się nieco absurdalne, ale nie mogłem się z nimi zgodzić. To by oznaczało, że 12 tysięcy naszych studentów traci swój status i część z nich idzie do wojska. Poza tym musiałem myśleć o przyszłości Uczelni. Do wznowienia studiów doszło 20 stycznia. Wcześniej zarówno ja, jak i inni rektorzy – w towarzystwie prorektorów i pierwszych sekretarzy partii – odbywaliśmy rozmowy z ówczesnym prezydentem Warszawy, bo to on podejmował takie decyzje. Ku mojemu zasko-

czeniu, na jego pytanie, czy Uczelnia jest do tego gotowa, I sekretarz naszej zakładowej organizacji partyjnej odpowiedział,

że nie. Wcześniej niczego takiego mi nie mówił. Potem, od rektorów innych uczelni, dowiedziałem się, że w ich przypadku było tak samo.

Profesor **Findeisen** sądzi, że przedstawiciele partii na uczelniach nie chcieli brać na siebie odpowiedzialności za to, co będzie dalej. Jednak nie wszyscy.

Przy okazji różnych manifestacji na mieście zatrzymywano studentów Politechniki.

– Została w związku z tym utworzona specjalna komórka – Zespół Zaufania – wspomina prof. **Findeisen**. – W jej skład weszły różne osoby: studenci, pracownicy – głównie członkowie Związku – a na

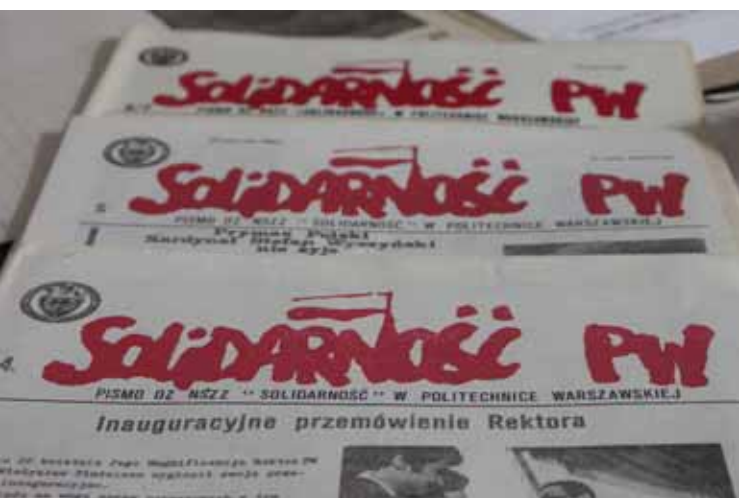


Michał Urbański

jej czele stanęła **Teresa Zarębska** ówczesna docent, potem profesor Wydziału Architektury. Osoba niezwykle energiczna i ciepła zarazem, członek partii. Zespół działał dwutorowo. Najpierw, po jakiejś większej akcji, kiedy zatrzymywano studentów, należało się zorientować, czy są wśród nich nasi, a potem podjąć działania, aby mogli wyjść po zapłaceniu grzywny. Z pieniędzmi nie było problemów, gorzej, że zapłacić grzywnę mógł tylko zatrzymany – on siedział – członek jego rodziny, albo... konkubina. Zgłaszały się studentki, które występując w roli wykupowały zatrzymanych.

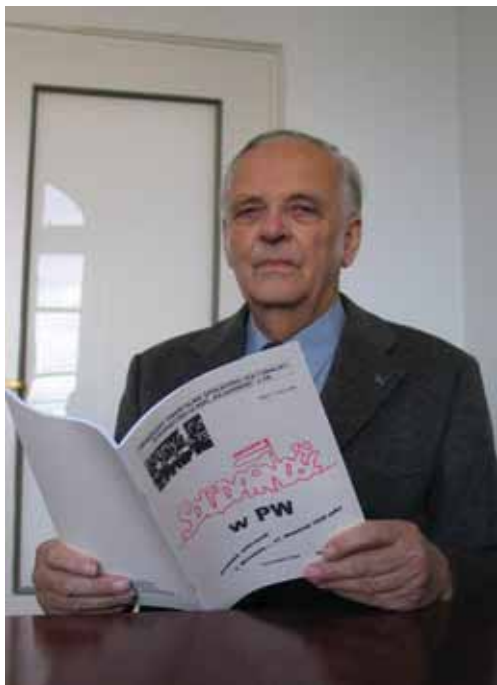
Dr **Michał Urbański** z FTIMS-u wspomina: – Drugiego lub trzeciego dnia stanu wojennego zgarnęli naszego studenta, który później poszedł do więzienia. Pamiętam, że pod poręczeniem za niego podpisywałem się wraz z ówczesnym dziekanem Wydziału prof. **Janem Petykiewiczem**.

Dr **Michał Urbański** o zatrzymanych studentach informował także Amnesty International.



robić – schowałem ją w biurku. Kilka dni później poszedł do mnie „mocno” partyjny kolega z Zakładu, i mówi: „Ja ci nie

– Przekazywałem dane przez dwie osoby, które nie wiedziały o sobie nawzajem. Do obu miałem zaufanie i obie trafiły w to samo miejsce. To była dość rozległa sieć, ale dowiedziałem się o tym dopiero później. Wcześniej nie pytałem, dlaczego mam to robić podwójnie.



Witold Wierzejski

Oficjalną drogą trafiały na Uczelnię informacje o zatrzymanych z kolegów orzekających.

– Ministerstwo surowo nakazało karać takie osoby, z wykluczeniem z Uczelni włącznie – mówi prof. **Findeisen**. – Wiem, że było 29 takich spraw, jak wyliczył prof. **Wiesław Kawecki**, ówczesny prorektor ds. studenckich. Wszystkie trafiły do komisji dyscyplinarnej, której głównym rzecznikiem był wtedy prof. **Edmund Pluciński**, członek partii. Tak manewrowała, że w 25 przypadkach odstąpiono od kary, a w 4 studenci otrzymali nagany z ostrzeżeniem.

Prof. **Findeisen**, któremu przyszło kierować Uczelnią w niezwykle trudnych warunkach – od kwietnia '81 do listopada '85 – uważa za sukces, że:

– W stanie wojennym żaden student nie został skreślony, nie został też usunięty żaden pracownik, choć niektórzy stracili swoje funkcje.

Trudne decyzje

W maju '84 w biuletynie „Solidarności” ukazała się informacja o wstrzymaniu naboru na Wydział Chemiczny PW. Było to

miejsce newralgiczne, o czym już pisaliśmy. Jego dziekanem został w kwietniu '81 ówczesny doc. **Krzysztof Schmidt-Szałowski**.

– Rok później sytuacja na Wydziale była bardzo groźna. Ministerstwo zapowiadało wstrzymanie rekrutacji, a wiem, że doc. **Schmidt-Szałowski** jako dziekan był dla partii „głównym kamieniem obrazy”. Wstrzymanie naboru oznacza śmierć dla Wydziału. Dlatego sądziłem, że jeśli odejdzie, to sytuacja się jakoś unormuje – wspomina rektor **Findeisen**.

Rektor zwrócił się do niego z prośbą, aby ustąpił. Prof. **Schmidt-Szałowski** nie mógł i nie chciał tego zrobić, z różnych względów.

– Podczas stanu wojennego nadal trwały prace nad nowym programem studiów. Szły opornie ze względu na rosnącą opozycję ze strony zwolenników starego porządku. Wprowadzono je jedynie dla I roku. Absorbowało mnie również wiele innych spraw, wynikających z nie-normalnych warunków pracy Uczelni. Pojawiały się problemy socjalne, ponieważ nie działały żadne związki zawodowe. Chyba w lutym, może w marcu '82, władze postanowiły, że w zakładach pracy trzeba powołać komisje socjalne. To było moje zadanie, więc powołałem komisję złożoną z kilku członków Komitetu Wykonawczego Koła Wydziałowej „Solidarności”. Naszym partyjnym kolegom nie spodobało się takie rozwiązanie. Zażądali usunięcia z komisji jednej z osób, zaangażowanej w działalność opozycyjną, rzekomo dlatego, że ma niezgodny charakter – i dokoopowania jednego z członków partii. Pierwsze odrzuciłem, a na drugie się zgodziłem.

Dodajmy, że ta osoba nigdy nie zgłosiła się do pracy w komisji.

13 maja '82 na terenie PW odbyła się milcząca manifestacja pracowników, w której brali również udział pracownicy jego Wydziału. Zaraz

potem zadzwonił do niego gen. prof. **Edward Włodarczyk**, komisarz uczelni wyższych w ówczesnym Ministerstwie Oświaty Szkolnictwa Wyższego i Techniki:

– Objechał mnie za to, że zezwoliłem pracownikom Wydziału na udział w manifestacji. Nawiązał do moich politycznych poglądów, a na zakończenie padło także stwierdzenie, że „straciłem kontrolę nad Wydziałem”.

Wprawdzie od razu nie było żadnych konsekwencji, a jednak...

– Niedługo później rektor **Findeisen** dał mi sygnał – mówi prof. **Schmidt-Szałowski** – że w związku z sytuacją na Uczelni oczekuje ode mnie rezygnacji ze stanowiska dziekana. Skontaktowałem się z TKU, ponieważ sprawa była poważna. Pamiętam zarówno rozmowę z **Andrzejem Smirnowem**, jak i potem w szerszym kręgu. Jej efekty były jednoznaczne – żadnych dobrowolnych ruchów. Zwłaszcza jeśli chodzi o osoby wybrane. Taką więc odpowiedź dałem rektorowi, który powiedział, że w tej sytuacji decyzję musi podjąć sam. Zostałem odwołany z dniem 1 września, co wobec narastającej presji politycznej było dla mnie dużą ulgą. Miałem też satysfakcję, że wielu pracowników Wydziału wyrażało żal z powodu decyzji rektora. Muszę dodać, że na jego życzenie pozostałem – nie będąc już członkiem Senatu – w komisji zajmującej się sprawami etyki zawodowej.

Rektor musiał także podjąć jeszcze jedną, także trudną decyzję. W wyborach '84 roku do Senatu PW ponownie kandydował i został wybrany dr **Andrzej Smirnow**.

– Powiedziałem wówczas, że jest to dla mnie nie do przyjęcia i gotów jestem



Marek Witkowski

zrezygnować z kandydowania na stanowisko rektora na II kadencję – wspomina prof. **Findeisen**. – Wyobraziłem sobie,

że przewodniczący „Solidarności” zabierałby głos w niemal każdej sprawie, a wszelka dyskusja byłaby sprzeciwianiem się nie jemu, lecz „Solidarności” – nielegalnej i charyzmatycznej. Bałem się takiego dyktatu, a w każdym razie napięcia psychicznego w Senacie.

Ta sprawa poruszyła, ba, wywołała gorącą dyskusję na obradach TKU.

Mgr **Kozakiewicz** wspomina:

– **Andrzej** przedstawił nam sytuację. Powiedział, że nie wie, co ma zrobić i chce, żebyśmy mu poradzili. Z tego, co mówił, wynikało, że rektor spodziewa się ze strony władz partyjnych ataku, jeśli **Smirnow** będzie w Senacie. Pamiętam, że przeważyła wtedy opinia, iż prof. **Findeisen** na stanowisku rektora chroni Politechnikę przed bezpośrednimi represjami ze strony ministerstwa, a jeżeli on upadnie, to wsadzą na to miejsce kogo będą chcieli, a to może być dla nas niekorzystne. Uważałem jednak, że jeśli **Andrzej** został wybrany, to nie może rezygnować i nic z partią pod stołem nie załatwiamy.

Dr **Hanna Rembertowicz** z tego samego zebrania zapamiętała:

– Najpierw dyskutowaliśmy, a potem odbyło się głosowanie. Część osób uważała, że jeżeli rektor o coś prosi, a nie do końca jest w stanie, czy nie chce, wytłumaczyć dlaczego, to trzeba mu zaufać. Musi przecież Uczelnię jakoś przez to wszystko przeprowadzić i trzeba mu pomóc. Po kilku tak – zdecydowanie powiedziałam nie. Co powiemy młodzieży? Że są jakieś dziwne naciski na nas? Moje zdanie nie było jednak popularne i w końcu przegłosowaliśmy ustąpienie **Smirnowa**.

Prof. **Findeisen** mówi, że nawet teraz, po latach nie żałuje swojej decyzji. Uważa, że była słuszna.

– Miała ona jednak swoje następstwa. 30 kwietnia zaproszono mnie do Ministerstwa, do wiceministra. Był tam także wysokiej rangi przedstawiciel Komitetu Warszawskiego PZPR, prof. B., który powiedział – cytuję, bo to bardzo zabawne: „Klasa robotnicza, nie życzy sobie, żeby był pan nadal rektorem”. Po „Solidarności”, stanie wojennym, on nadal uważał się za przedstawiciela klasy robotniczej. Groteska. Sam tego oczywiście nie wymyślił. Sądzę, że pomysł podsunął mu Komitet Zakładowy PZPR i to w ostatniej chwili. Tym bardziej że dwa miesiące wcześniej minister **Benon Miśkiewicz** zachęcał mnie, bym kandydował na drugą kadencję. Sądzę, że miała na to

wpływ sytuacja ze **Smirnowem**. Może uznali, że skoro potrafię sprzeciwić się „Solidarności”, to partii tym bardziej. Odpowiedziałem wtedy, że powinni zawiadomić mnie o tym wcześniej, bo nie zostawię teraz dziekanów, którzy wiedzieli, że będę kandydował i nie posłucham „woli klasy robotniczej”. Zostałem wybrany, ale partia nie dała za wygraną. Pod koniec listopada następnego roku z inicjatywy Komitetu Zakładowego PZPR zostałem usunięty.

Internat

Dla niektórych, przynajmniej część stanu wojennego oznaczała przymusową bezczynność.

– Stan wojenny widziałem zza krat tzw. dyskoteki – budynku, w którym byliśmy przetrzymywani – mówi dr **Strachalski**. – 23 stycznia '81 roku wywieziono nas na Bemowo. Stamtąd śmigłowcem do Jaworza. Kilka razy zawożono nas do Wólczyna, do szpitala wojskowego – na badania. Wtedy mogliśmy pospacerować. 2 maja 1982 roku – wciąż byłem internowany. Przebywaliśmy wtedy w DarłóWKu. Wicczorem padło hasło, że 3. robimy głośdówkę. Jednak wszyscy brali chleb z kolacji. Tego nie rozumiałem. Był określa świadomość – cytat z **Marksa** – dodaje. – Taka prawdziwa solidarność była wśród robotników, a nie wśród inteligencji. Uważam, że przysłowia są mądrością narodu i prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie.

Dругa fala internowań była w maju '82.

– Ukazywało się nasze pismo, a SB denerwowało się coraz bardziej – wspomina prof. **Woźnicki**. – Podjęto działania represyjne, ale na ślepo – internowano dwóch naszych kolegów doc. **Jana Kurmana** i dr. **Kornela Wydro**, którzy nie mieli nic wspólnego z tajną strukturą. To upewniło nas, że jesteśmy dostatecznie dobrze zakonspirowani.

Dr **Kornel Wydro** opowiada:

– 8 maja przyszli do mnie panowie z pałacu Mostowskich. Przychodzili też wcześniej, ale akurat nie było mnie w domu. W Białogórze trafiliem do znajomych, którzy również zostali internowani. Znalazło się tam też wiele osób z NZS-u.

Na pytanie o to, jak wyglądało życie w internacie, uśmiecha się i odpowiada:

– Przytyłem kilka kilogramów. Nie dlatego, że wikt więzienny był doskonały, ale dlatego, że zaopatrywano nas z zewnątrz. Nie było problemu z kawą, czekoladą, dobrymi wędlinami lub świeżymi warzywami, które dostarczali nam oko-

liczni badylarze. Spędziłem tam tylko trzy miesiące. Internowanie to doświadczenie, które sobie cenię. Stanowiliśmy pewną społeczność. Obszar wolności rozpychaliśmy sobie łokciami. Działo się tak krok po kroku. W pewnym momencie nasi dozorczy przestali nas zamykać w barakach. Mogliśmy wychodzić, spotykać się z innymi, rozmawiać, czytać i pisać, ale nadal mieliśmy „kipisze” i rewizje. Próbowano też ze mną rozmawiać, ale... odpowiadałem, że nie mamy o czym i na tym się kończyło.

Po powrocie nie spotkały mnie żadne reperkusje na Uczelni. Myślę, że dużą rolę w ochronie ludzi na PW odegrał prof. **Findeisen**. Umiał znaleźć dostatecznie przekonujące argumenty, miał autorytet,



Jerzy Woźnicki

przed którym respekt czuli również jego przeciwnicy polityczni.

Próba czystek

Wypuszczeni z internatu wracali do pracy, ale uczelniana organizacja partyjna do spółki z niektórymi jej wydziałowymi działaczami usiłowała w '82 „oczyścić” Politechnikę. Kołem ratunkowych okazał się rektor **Findeisen**, który miał w tych sprawach ostateczny głos.

Na liście do zwolnienia znalazł się między innymi dr **Obiegałka** z IL-u.

– W moich dokumentach napisano, że „nie przyjmuję do wiadomości rad w sprawach polityczno-społecznych” i coś tam jeszcze. Ta opinia nigdy nie została

mi oficjalnie przedstawiona, chociaż dowiedziawszy się, że istnieje, wystąpiłem o to najpierw do dziekana, a potem do rektora **Findeisena**. Gdybym nie zaczął się odwoływać, pewnie by mnie zwolniono. W efekcie moich interwencji u rektora dowiedziałem się, że była to jedynie rada... z którą zapomniano mnie zapoznać. Pamiętam rozmowę z rektorem – bardzo mnie wówczas podbudował w dalszym upominaniu się o prawdę. Poprosiłem więc o wykreślenie owej „rady” z moich akt personalnych.

Jednak na wszelki wypadek dr **Obiegała** z Instytutu Dróg i Mostów – którym z racji jego specyfiki zainteresowały się służby wojskowe – szedł z pola widzenia, bo udało mu się znaleźć drugie miej-

Jedynym partyjnym dyrektorem Instytutu, który ocalał po „porządkach” na Wydziale zapoczątkowanych przez „Solidarność” był prof. **Wiesław Jasiobędzki**. Dlaczego?

– Ponieważ był przyzwoitym człowiekiem – wyjaśnia dr **Trzaska Durski**. – Nie podobało mu się to, co robili jego partyjni koledzy, był przeciwnikiem wprowadzenia stanu wojennego i od lat „wojował” na Wydziale z prof. **Pasynkiewiczem**. Bardzo przyzwoicie zachował się także podczas pierwszej weryfikacji pracowników w roku 1982, wybronił wszystkich.

Kiedy w roku 1983 kończyła się kadencja władz uczelni i trzeba było wybrać nowego dziekana, postanowiliśmy głosować – wbrew opinii partii – na prof. **Jasiobędzkiego**. Został dziekanem i chyba jemu zawdzięczamy, że w końcu przywrócono – w roku 1986 – nabór na Wydział. Ponadto prof. **Jasiobędzki** zainteresował wojsko badaniami dotyczącymi m.in. materiałów wybuchowych, które prowadzono na Wydziale.

Pierwsza czystka na uczelni nie spowodowała więc żadnych zwolnień, natomiast druga z roku 1986... ale to już inna historia.

Wpadki?

Tych na Uczelni nie było, choć zdarzały się sytuacje trudne albo wręcz groźne. Na szczęście wszystkie zakończyły się pomyślnie, a niektóre opowiadane dzisiaj, są jak anegdota.

Dr **Rymsza** wspomina teraz ze śmiechem sytuację, gdy wraz z dr. **Dłużewskim** udali się na spotkanie – jak mówi na szczeblu uczelnianym – które miało się odbyć w Ursusie.

– Pukamy, a drzwi otwiera nieznanym nam człowiek. Nie mogłem przecież powiedzieć wprost, o co chodzi, a żadnego hasła typu „najlepsze kasztany...” nie było. Nie wiedziałem, co mam mówić, on też nie wiedział, jak ma nas potraktować. W końcu zdesperowany mówię, że przyjechaliśmy na imieniny kolegi z Politechniki. Na to usłyszałem: „To w są-

siednim domu. Jesteście już drudzy, tylko tamci tłumaczyli, że chcą go odwiedzić, bo jest chory”. Widocznie nas testował, czy nie przyszliśmy z SB. Okazało się, że zarówno my, jak i tamta dwójka dostaliśmy adres z niewłaściwym numerem domu.

Dr **Rymsza** wspomina też inne wydarzenie dotyczące konspiracji. Niósł do domu paczkę znaczków z portretami osób wyrzuconych z Politechniki po czystce w roku 1985. Przed wejściem czekała żona – która wyszła pod pozorem wyrzucenia śmieci – żeby go ostrzec, że w mieszkaniu czeka milicja. Natychmiast udał się więc do mieszkającego obok dr **Lecha Winnickiego**, aby tam zostawić trefny ładunek.

– Otworzyła mi jego żona, mówiąc, że **Lech** jest zajęty w garażu, ale zaraz powinien nadejść. Trwało to dość długo, ale wtedy jakoś o tym nie myślałem. Kiedy przyszedł i wytłumaczyłem, o co chodzi... odmówił. Byłem zaskoczony. Tego się po nim nie spodziewałem, chociaż zauważyłem, że jakiś czas temu wycofał się z działalności solidarnościowej na Wydziale. Sytuację uratowała jego żona, mówiąc, że ma zaufaną sąsiadkę i zostawił to u niej. Nie rozmawiałem z nią chyba przez dwa tygodnie, chociaż widywaliśmy się codziennie. Dopiero później wyjaśnił, że w owym czasie u niego w garażu drukowany był „Tygodnik Mazowsze” i dlatego – zgodnie z zasadami konspiracji – musiał być czysty. Właśnie z tego powodu wcześniej wycofał się z działalności na Wydziale. Mógł mi o tym powiedzieć dopiero, kiedy druk przeniesiono w inne miejsce. O tej pięknej karcie z życiorysu dr. **Lecha Winnickiego** wspominałem potem na jego pogrzebie w roku 1991.

Dr **Szwemin**, który u siebie w domu nagrywał kasety, potem zajmował się także dostarczaniem partii towaru do dziupli. Jechał kiedyś samochodem pod Warszawę, z torbą w której było – bagatela – 150 sztuk kaset, porządnie popakowanych w paczki. Na szosie zatrzymał go patrol. To była rutynowa kontrola i nic by się pewnie nie stało, gdyby nie to, że...

– Milicjanci zobaczyli przy kluczykach samochodowych breloczek z napisem „Solidarność” i od razu zainteresowali się torbą. Na szczęście na wierzchu położyłem w niej małego „grajka”, taki mini-keyboard na baterie. Wsunąłem rękę do torby, włączyłem zasilanie i przejechałem palcami po klawiszach. Tak się zainteresowali instrumentem, że musiałem go



Zbigniew Wrzesiński

sce zatrudnienia na Politechnice Rzeszowskiej.

Kłopoty miał także mgr **Popończyk** z Wydziału Mechanicznego Technologicznego, któremu dyrektor Instytutu usiłował wręczyć wypowiedzenie ze wsteczną datą. Oczywiście odwołał się, więc na zasadzie nie kijem go to... dano mu do podpisu negatywną – wystawioną przez organizację partyjną – ocenę jego działalności na Wydziale.

– Odwoływałem się do rektora, który polecił usunąć z niej sformułowanie „komisja negatywnie ocenia postawę społeczno-polityczną w stosunku do zasad ustrojowych ujętych w Konstytucji PRL”. Moje pisma odwoławcze – miał je prof. **Weyher** – były wzorcem dla innych pracowników, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji.

Wydawać by się mogło, że na Wydziale Chemicznym – będącym „solą w oku” dla działaczy partyjnych – głowy posypią się szczególnie, tymczasem...

pokazać i dać się nim pobawić. Dalej już nie sprawdzali.

Tadeusz Niedziałek, mając wielokrotnie wóz załadowany trefnym towarem, nigdy nie wpadł, chociaż kilka razy znalazł się w sytuacji dość niebezpiecznej.

– Tylko szczęście mnie uratowało – mówi. – Wiozłem papier. Samochód zapchany, a na Międzyborskiej obława – zatrzymują i sprawdzają każdy pojazd. Milicjant, który do mnie podszedł, zapytał tylko na pakę i mówi: – „Daleko chyba nie pojedziemy”. Tłumaczę, że to dla Politechniki, zlecenie służbowe... Uśmiechnął się i mówi – „Nie czaruj”. Potem dodał – „Ja to rozumiem”. Wsiadł do szoferki i położył swoją białą czapkę na desce rozdzielczej. Ta czapka była tak widoczna z daleka, że nikt już nas więcej nie zatrzymał. Wywiózł mnie z obławy aż na Mińsk, tam wysiadł i odszedł, a ja klucząc oplotkami dojechałem do domu.

Podobną przygodę miał prof. **Jerzy Woźnicki**.

– Gromadziłem w domu różne materiały – ulotki, odezwy, kasety, wydawnictwa nasze i te, które dostawałem z zewnątrz. Po internowaniu naszych kolegów (maj '82 – przyp. red) postanowiłem się tego pozbyć z własnego mieszkania. Wsadziłem wszystko do dużej teczki, włożyłem do bagażnika i pojechałem do znajomych, którzy nie mieli nic wspólnego z konspiracją. Chciałem ich prosić, by to przechowali. Jechałem Belwederską, a przy rogu Dolnej stały patrole, które za-

gaźnik” – powiedział. Nie było wyjścia. Otworzyłem. Spojrzał na teczkę i spytał, co w niej jest. Powiedziałem, że jestem nauczycielem akademickim i są to materiały do wykładów. Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo: „Proszę zamknąć i jechać”.

O nieomal wpadce dr **Wierzejskiego**, u którego w domu podczas rewizji znaleziono części do nadajnika, pisaliśmy już wcześniej. Ta historia miała także swój dalszy, zabawny koniec. Tamtego dnia znaleziono u niego w domu również 13 sztuk bibuły i z tego powodu zabrano go na przesłuchanie do Pałacu Mostowskich.

Tam zapytano, skąd ma bibułę?

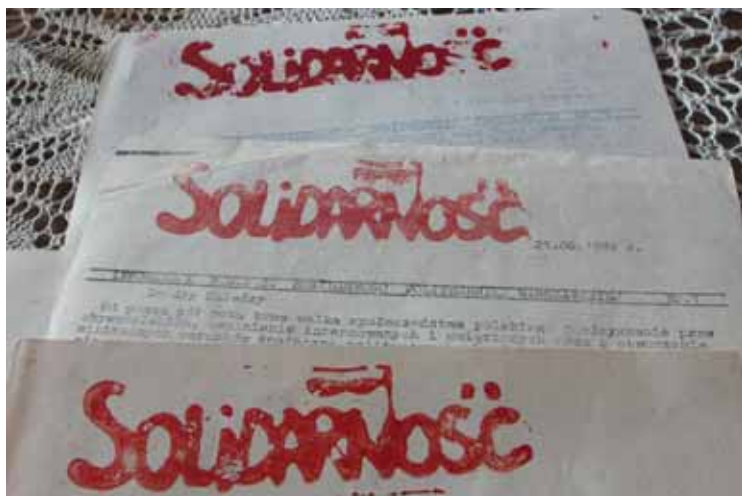
– Powiedziałem, że co rano schodzę do skrzynki z listami i tam ją znajduję. Wtedy przesłuchujący zapytał mnie: „Może chce pan zmienić zeznanie? Inni mówią, że znajdują w windzie”. Odparłem na to, że wprawdzie mieszkam na czwartym piętrze, ale w budynku bez windy.

Po pamiętnych manifestacjach – 1, 3, 13 maja '82 – kilka osób z Uczelni zostało internowanych, a kilka wezwanych na przesłuchania do wspomnianego już Pałacu Mostowskich. Był wśród nich m.in. dr **Dzierżawski** z Wydziału Architektury.

– Sądziłem, że to z powodu mojego udziału w demonstracjach

– uczestniczyłem we wszystkich. Zebrania na Wydziale odbywały się bowiem w kręgu zaufanych osób, w mieszkaniach prywatnych. W mojej pracowni był wówczas zbiór osób „egzotycznych” jak na owe czasy. Kierownikiem była bezpartyj-

na wicemarszałek Sejmu prof. **Halina Skibniewska**, ja byłem niejako jej zastępcą, ze względu na zajęcia pani profesor w Sejmie. Była też **Basia Kalabińska** żona **Jacka Kalabińskiego** dziennikarza radiowego, ówczesnego szefa Stowarzy-



szenia Dziennikarzy Polskich, oraz **Jolanna** żona francuskiego korespondenta **Bernarda Margueritte'a**.

Ponieważ bałem się, że mogą mnie internować, uprzedziłem prof. **Skibniewską**, że mogę nie dokończyć różnych spraw, które nadzorowałem. Ona, w owym czasie, samorzutnie przyjęła na siebie rolę łącznika między Komitetem Prymasowskim a ówczesną władzą z **Czesławem Kiszczakiem** i **Wojciechem Jaruzelskim** na czele. Podejmowała różne interwencje, przekazywała władzy prośby, postulaty. Chyba zadziałała też w mojej sprawie, bo w Pałacu Mostowskich, kiedy zaczęto się przesłuchanie, po chwili zadzwonił telefon i prowadzący wyszedł, a potem mnie zwolniono.

Te czasem groźne sytuacje, które mogły się przecież zakończyć zupełnie inaczej, nie miały jednak wpływu na działalność podziemnej struktury „Solidarności”. Czy ludzie się bali? Zapewne. Jedni mniej, inni więcej, ale...

– Mieliśmy świadomość, że rzeczy ostateczne nam nie grożą. Nawet jeśli zatrzymają, to pójdziemy siedzieć, a nie pod mur – mówi ze spokojem prof. **Gomuliński**. – Cóż, miałem wtedy 45 lat i uważałem, że jestem trochę za stary na taką młodzieńczą, kozacką konspirację. Ale wiek miał też swoje dobre strony. Na ulicy zatrzymywano młodych ludzi z plecakami, a ja szedłem z teczką pełną bibuły. Nie powiem, czasem ręka drżała, ale jakoś mnie omijali...



Kornel Wydro

trzymywały i przeszukiwały wszystkie samochody. Byli tam ZOMO-wcy oraz żołnierze. Jeden z nich – młody chłopak – podszedł go mnie. „Proszę otworzyć ba-

Próba podsumowania

W ruch solidarnościowy na Uczelni zaangażowali się przede wszystkim ludzie młodzi, dlatego można zaryzykować stwierdzenie, że była to w istocie uczelniana „rewolucja adiunktów”. Zresztą taka sytuacja jest zupełnie zrozumiała. Z wiekiem porwy entuzjazmu i wiara w to, że można zmienić świat, słabną.

Jednak dla wszystkich, którzy zechcieli podzielić się swoimi wspomnieniami, dla wielu, którzy zostali tylko wspomniani, a także dla anonimowych osób biorących udział w opisanych przez nas wydarzeniach – były to lata szczególne, niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju. Czas niesłuchanej mobilizacji intelektualnej, solidarności przymiotnikowej, a jednak uzasadniającej tę drugą, pisaną z wielkiej litery. I jak się wydaje – okres najbardziej istotny z punktu widzenia Związku. Może dlatego, że początki zawsze są najciekawsze? Przez 25 lat od powstania „Solidarności” zdarzyło się wiele. Bilans zysków i strat dla każdego jest inny. A może jest tak, że rewolucja „zjada” swoje dzieci, a może oczekiwania były na wyrost, a może...

Bez względu jednak na obecnie formułowane opinie, lata 1980 – 1984, o których piszemy, były wyjątkowe nie tylko dla Polski, ale także dla Politechniki Warszawskiej. W istocie o tej wyjątkowości była nasza opowieść.

MIESIĘCZNIK POLITECHNIKI WARSZAWSKIEJ PISMO SPOŁECZNOŚCI AKADEMICKIEJ PW

Rada MIESIĘCZNIKA PW: prof. **Maciej Grabski** – przewodniczący, **Arkadiusz Orczykowski**, prof. **Jacek Czajewski**, dr **Sergiusz Dzierzgowski** – sekretarz, prof. **Małgorzata Kujawińska**, prof. **Tadeusz Rzeżuchowski**.

Wydawca: **Politechnika Warszawska**, Plac Politechniki 1, 00-664 W-wa.

Redagują: **Iwona Kolińska** – redaktor naczelny (miespw@rekt.pw.edu.pl), **Joanna Kosmalska** – redaktor (j.kosmalska@ca.pw.edu.pl), **Zbigniew Zając**, **Anna Abramczyk**, **Ewa Chybińska**, **Joanna Majewska**, **Michał Leśniewski**, **Rafał Zawadzki** – stali współpracownicy (prasa@ca.pw.edu.pl). Koncepcja i opracowanie merytoryczne numeru specjalnego – **Joanna Kosmalska**, koncepcja graficzna numeru specjalnego – **Iwona Kolińska**.

Adres redakcji: ul. Polna 50, 00-644 Warszawa.

Telefony: 660-54-87, 660-57-31, fax 660-57-30.

Adres internetowy: <http://www.mpsw.pw.edu.pl>

Łamanie i druk: Oficyna Wydawnicza Politechniki Warszawskiej, ul. Polna 50, 00-644 Warszawa, tel. 825-75-18.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji, redagowania i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Nie wszystkie poglądy autorów tekstów zgodne są z przekonaniami Redakcji. Niektóre mogą stanowić zaproszenie do dyskusji dla wszystkich chętnych.

Przedruk ilustracji i tekstów oraz ich fragmentów możliwy wyłącznie za zgodą Redakcji.

Redakcja pragnie bardzo serdecznie podziękować wszystkim osobom, które zgodziły się podzielić swoimi wspomnieniami, a szczególnie dr. **ZYGMUNTOWI TRZASKA DURSKIEMU**, przewodniczącemu NSZZ „Solidarność” PW, za pomoc i konsultacje.